TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 15. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 26 grudnia / 7 stycznia 1859/60.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Tadeusz hr. Mostowski (z dwoma drzeworytami). — Kronika tygodniowa. Szopka. — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. — Kronika sztuk pięknych. — Biblioteka narodowa imienia Ossolinskich we Lwowie (z drzeworytem). — Taniec, poezya (z drzeworytem). — Trup posła upickiego (z drzeworytem). — Korrespondencya „Tygodnika Illustrowanego". — Józef Boskowicz. — Korrespondencya od redakcyi. — Kronika zagraniczna. — Doniesienia. — Ubiór mieszczanek z miasta Bodzentyna (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Tadeusz hr. Mostowski.

Nic sprawiedliwszego od napisu, jaki czytamy na wyobrażonym tu (ob. str. 118) medalu, wykonanym w Paryżu, z polecenia wielbiącéj pamięć ojca córki. Streszcza on wiernie żywot człowieka, o którym dużo trzebaby napisać, chcąc opowiedzieć wszystkie jego zasługi, znakomite czyny, przywiązanie do kraju, głęboki rozum, tudzież cnoty publiczne i domowe, jakiemi się odznaczał z chlubą dla narodu, z zaszczytem dla swojéj rodziny. Od końca zeszłego, prawie do piérwszéj połowy bieżącego stulecia, imię Mostowskiego ściśle związane jest z dziejami naszego kraju; stoi ono na czele zawiązku wszystkich istniejących dotąd urządzeń, instytucyj, zakładów i ulepszeń, wszystkich myśli dla dobra i pomyślności ogółu przedsiębranych lub dokonanych. Był to prawdziwy mąż stanu, umiejętny rolnik, cnotliwy obywatel, dzielny mówca, wielki minister, a pomiędzy możnymi biegły i uczony literat. Cały bieg jego długoletniego życia, który tu w krótkości skréślić zamierzamy, wymownem jest świadectwem najpiękniejszéj duszy, obrazem szlachetnego serca, poświęconego dla bliźnich i ziemi rodzinnéj.

Tadeusz Antoni hrabia Mostowski, z ojca Pawła wojewody mazowieckiego i Anny Rozalii z Hilzenów, urodził się w Warszawie dnia 19 października 1766 roku. Wychowany troskliwie pod okiem dostojnego rodzica, w domu co w owym czasie był przytułkiem uczonych, wcześnie zaprawił się do miłości nauk i głębszych umiejętności. W młodzieńczych jeszcze latach mianowany podstolim wyszogrodzkim, poświęcił się mozolnemu zawodowi sądownictwa, i już w roku 1790 zaproszony został jako assessor do zasiadania w sądach kryminalnych, wraz z siedmiu innymi członkami, również znakomitego rodu i znaczenia. Na tém stanowisku, niezmiernie w owe czasy trudném, umiał pozyskać nietylko powszechny szacunek, ale i zadowolenie króla Stanisława Augusta, tak iż gdy po śmierci Franciszka Zboińskiego, jednego z członków tegoż sądu, opróżnioną została kasztelania raciążska, monarcha mianował Mostowskiego na jego miejsce, wyrażając się bardzo pochlebnie o jego zasługach, w dyplomacie na dniu 29 listopada 1790 r. wydanym. W rok potém działalność i gorliwość nowego kasztelana użyto na daleko obszerniejszém polu; z woli bowiem króla i za zgodą stanów powołany został do grona najdostojniejszych osób, przydanych do deputacyi sejmowéj, dla przyspieszenia robót prawodawczych, wybrany będąc do senatu z prowincyi wielkopolskiéj. Wtedy, wspiérając czynnie rozwinięte dążności w myśl potrzeby kraju, począł wydawać własnym nakładem, dwa razy na tydzień w formacie arkuszowym, pismo polityczne pod tytułem: „Gazeta narodowa i obca," którą redagował wraz z posłami sejmowemi Józefem Weissenhoffem i Julianem Niemcewiczem. Pismo to, pomimo wielkiego wpływu, niedługo wszakże trwało, a gdy niebawem wypadki dziejowe przerwały byt dawnego stanu rzeczy, Mostowski odjechał do majętności swoich we Francyi, spadłych na niego po ojcu, gdzie poświęcając czas swój nauce ekonomii, rolnictwu, administracyi, tudzież obeznaniu się z zakładami przemysłowemi, dostatecznie się przygotował, aby na przyszłość być użytecznym krajowi.

TADEUSZ Hr MOSTOWSKI.
(Rysował Polkowski, rytował Delahaye w Warszawie.

Tak usposobiony, w r. 1802 wrócił do Warszawy, a chcąc podnieść upadłe nauki, z ogromnym kosztem założył w pałacu własnym, dziś kommissyi rządowéj spraw wewnętrznych, wielką drukarnię. Sprowadził najlepszych robotników i najpiękniejsze czcionki z Paryża i z Lipska, i w niéj rozpoczął śliczne wydanie „Wyboru celniejszych pisarzów polskich," którego 27 tomów, na pięknym białym papierze, od r. 1803 do 1805 na świat wyszło.

Pożyteczne i okazałe to przedsięwzięcie, dziś jeszcze pomiędzy podobnemi publikacyami odznaczające prac się, mieściło w sobie prawdziwy dobór wzorowych naszych autorów, jakiemi są: „Historya Polska" Naruszewicza, pisma Orzechowskiego, Górnickiego, Bohomolca, Kognowickiego, oraz zbiór „Klassycznych poetów:" Kochanowskiego, Szymonowicza, Gawińskiego, Zimorowicza, Lipińskiego, i t. d.

Wszystkie te dzieła, z taką wytwornością i kosztem drukowane, sprzedawane były w nadzwyczaj umiarkowanéj cenie, jedynie w celu ich rozpowszechnienia, dla nauki języka i poprawy zepsutego cudzoziemczyzną smaku. Za jego przykładem liche ówczesne drukarnie i wydania warszawskie znacznie się poprawiły, a książki polskie zaczęły być

czytane. Była to więc przysługa niemała dla piśmiennictwa, zwłaszcza gdy obok tego nietylko sam hr. Mostowski naukowo pracował, zasilając udatnemi swojemi poezyami i rozprawami pisma czasowe, ale i ułatwiał innym środki nabywania oświaty. Przytém niemniéj czynnie zajmował się rozwijaniem przemysłu i gospodarstwa wiejskiego, zaprowadzając w dobrach swoich ulepszenia i zmiany, dla przykładu i korzyści ogółu przedsiębrane.

Takiego wpływu i zdolności człowiek, nie mógł być od ówczesnego rządu księztwa warszawskiego pominiętym. Po śmierci zatém Jana Pawła Łuszczewskiego, panujący książę warszawski, dekretem wydanym d. 19 września 1812 r., mianował Mostowskiego ministrem spraw wewnętrznych i religijnych, i to w chwili gdy wszelka czynność albo niemożebną, albo z wielkiemi trudnościami była połączoną. Tyle jednak na tém stanowisku okazał usposobienia i gorliwości, iż błogosławionéj pamięci cesarz Aleksander I tęż samę ważną posadę, dekretem wydanym w Wiedniu d. 20 maja 1815 r., jemu powierzył, a na dniu 20 grudnia t. r. ministrem prezydującym w kommissyi rządowéj spraw wewnętrznych go mianował. Trafny to i szczęśliwy był wybór; gdyż tu właśnie najbardziéj było potrzeba takiego jak on męża, pełnego światła i dobrych chęci. Administracya bowiem wewnętrzna, zawikłana tylą zmianami rządu i tylą prawodawstwami przeobrażana, w najsmutniejszym znajdowała się stanie. Zródła dochodów wewnętrznych, wśród ciągłych wojen, zatamowane lub wyczerpane; miasta zniszczone; handel i przemysł, i tak niewielki, upadł zupełnie; nauki i kunszta wśród burzy wojennéj zaniedbane, a instytuta publiczne opuszczone. Trzeba było wszystko stworzyć, odnowić i do porządku przyprowadzić. Umiał temu zaradzić minister Mostowski pracą, niezwykłą czynnością, niezmordowaną troskliwością i energią bez granic. Każdy interes sam odczytywał, rozważał, i zwykle pełne rozumu, treściwe zdanie na każdym referacie, projekcie lub podaniu własnoręcznie nakreślał. Téj sprężystości kraj był winien szybki i łatwy kierunek nowéj administracyi. Jego to staraniom przypisać należy wzrost wielu miast lub ich upiększenie; za niego założone zostały piérwsze u nas miasta fabryczne: Łódź, Tomaszów, Ujazd, Poddębie, Pabianice, Konstantynów, Przedbóż, dziś tyle wpływu na dobry byt w kraju mające.

Za jego zachętą i radą ożywił się handel, przemysł i kunszta. On to sprowadził do kraju piérwsze machiny do przędzenia wełny, lnu, konopi, a kosztem rządu założył fabryki sukna, dywanów, bawełny, przetworów chemicznych, szkła, fajansu i t. p., które następnie przeszły w ręce prywatne i dały początek tym gałęziom przemysłu. Jego to skrzętność powiększyła lub odzyskała stracone dochody skarbu publicznego. Z jego pomysłu i pracy wydane były urządzenia organiczne: o zgromadzeniach gminnych, o radach obywatelskich, administracyi miast i ich funduszów i o powinnościach szarwarkowych. Za jego ministerstwa wybudowane zostały piérwsze drogi bite w królestwie, urządzony kanał augustowski, łączący Niemen i Kamionnę z rzekami Wisłą, Bugiem i Narwią. Jemu winien swoje założenie instytut gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie. Zaprowadzenie stada rządowego koni, tyle wpływu na poprawę rasy ich mające, oraz założenie wzorowéj owczarni w dobrach rządowych, wełny krajowéj, w celu ulepszenia tychże, są także jego dziełem. On to urządził towarzystwo wyrobów zbożowych i piérwszy młyn parowy w Warszawie, co dziś jest własnością banku polskiego; wyjednał fundusz w ilości rs. 133,600 rocznie, na budżecie skarbu dotąd będący, dla wsparcia pożytecznych przedsiębierstw przemysłowych, fabrycznych i handlowych, tudzież tak zwany fundusz fabryczno-żelazny, na zapomogi dla budujących się fabrykantów. Jemu zawdzięcza Warszawa znakomitsze swoje ulepszenia i niejednę ozdobę, jakiemi są: założenie alei, zjazdów do Wisły, upiększenie ogrodów publicznych, opatrzenie funduszem dla budujących się, przez sześcio-procentową amortyzacyą płacalnym. Za jego to staraniem i pomysłem powstały piérwsze szkoły rzemieślniczo-niedzielne i wiele innych równie zbawiennych instytucyj. Słowem można śmiało powiedzieć iż niemal cały stan dzisiejszego rozwoju sił produkcyjnych kraju czerpie źródło swoje w zasadach przez ministra Mostowskiego wskazanych lub rozpoczętych. On bowiem rzeczywiście piérwszy obudził myśl postępu we wszystkich gałęziach ekonomii krajowéj, a nietylko ze stanowiska urzędowego, ale i prywatnie, jako zamożny właściciel dóbr, starał się podnieść rolnictwo, fabryki i obudzić uśpionego ducha pracy, a tym sposobem na powszechną wpłynąć zamożność. W téj myśli działał, a niejednokrotnie w obec zgromadzeń prawodawczych, przy sprawozdaniach ze swego zarządu, kreślił z dziwną siłą wymowy obraz potrzeb i położenia kraju. Dość tu wspomnieć podobną mowę, mianą przy téj sposobności w r. 1825, która drukowana osobno w językach polskim i francuzkim, jako wzór nowożytnéj wymowy tudzież głębokiéj znajomości stanu rzeczy, pomnikową w literaturze polskiéj pozostanie. Te i tym podobne zasługi zjednały mu względy monarsze i nagrody, jakiemi był w ciągu swego zawodu zaszczycany. W roku 1825 dostąpił godności senatora wojewody, następnie zaś, skołatany na zdrowiu w usługach publicznych, otrzymał pozwolenie udania się do dóbr swoich we Francyi, gdzie pobierał pensyą emerytalną. Tam, wróciwszy znowu do ulubionych zatrudnień gospodarskich i naukowych, którym zawsze z zamiłowaniem się oddawał, syt życia i chwały, zasnął snem sprawiedliwego, w Paryżu dnia 6 grudnia 1842 roku. Pochowany na cmentarzu Montmartre, obok swéj żony, z domu hr. Potockiéj, na kilka lat przed nim zmarłéj.

Kronika tygodniowa.

Spodziewam się że teraz przyznacie mi iż miałem słuszność.

Gdyby, zgodnie z moją mocyą przeszłoroczną, weszła była do komitetu resursy kupieckiéj choć jedna dama, zabawa w wigilią nowego roku nie byłaby ogołoconą z najpiękniejszych swoich ozdób. Prawdę mówiąc, nie był to bal sylwestrowy, ale raczéj bal czarny; fraki bowiem żałobnym swoim kolorem wszędzie uderzały oko. Stosunek dam do męszczyzn był taki, jak stosunek chrześcian do Turków w bitwie pod Nicopolis; tylko że w tym razie, sprzecznie z owym historycznym wypadkiem, wielu Turków dostało się w niewolę strony słabszéj liczebnie. Nie będę tu przytaczał nazwisk żeńskich „Janów bez bojaźni,“ którzy tego bohaterstwa dokazali: poznacie ich, czyli je, po dalszych ich czynach, bo wszakże karnawał niedawno się rozpoczął, a długo ma trwać w tym roku.

Ale co tam mówić o nowym roku, kiedy już i trzy króle minęły. Przeszedł już ten właściwy termin rozpoczęcia zabaw, a jednak dotąd jeszcze dość głucho w Warszawie. Bo po prawdzie, któż się będzie tu bawił i za co? Miasto nasze o własnych siłach nigdy nie było bardzo ruchliwém, a tu zwykli karnawałowi goście okazali się niewiernymi: hotele puste, sklepy skarżą się na brak kupujących, a modniarki i krawcy w głowę zachodzą, jak wyprzedać wszystkie zapasy, porobione w nadziei téj balowéj pory. Nie mamy serca użalać się nawet na ten brak karnawałowéj praktyki, bo wiemy dobrze że wielu nie zbywa na ochocie; ale ochota sama nie zapłaci muzyki, nie zakupi kolacyi i nie oświeci salonu.

Jednaby tylko rada była na to: powinniśmy się wrócić do patryarchalnych czasów płócienkowych sukien, skromnych ugoszczeń i mniéj świetnéj wystawy. Odkąd jedni zaczęli się sadzić nad drugich, odtąd niepodobieństwem się prawie stało wydać wieczór, bez narażenia się na znaczne koszta. Wszędzie musi być kolacya, z wysoką kucharską przyrządzona sztuką, wszędzie torty, wina, cukry, lody, chłodniki przeróżne. Doliczywszy do tego stroje dam, którę po kilkaset złotych nieraz wypadają, uznamy że wydawanie wieczorów tańcujących stało się prawie niepodobieństwem. To nasze magnactwo zuboża nas; jesteśmy po większéj części ogołoceni z przyjemności życia, bo ich za wiele mieć pragniemy. Urzędnik posiadający dwa lub trzy tysiące pensyi i żeniący się z panną która mu i tyle nawet dochodu w posagu nie przyniesie, otrzymuje wyprawę kilkanaście tysięcy wartującą, na któréj pomieszczenie trzeba większy i stosunkowo kosztowniejszy nająć lokal, niżby to wspólne środki utrzymania młodego małżeństwa zdawały się nakazywać. Zaraz więc biéda zagnieździ się pomiędzy temi aksamitnemi fotelami, długi wychylają blade swoje oblicze z pod haftowanych firanek, a zabłocone nogi lichwiarza lub komornika przyjdą wkrótce deptać tę piękną, woskowaną posadzkę. Tak się jednak wszędzie dzieje. Młode panny oduczają się od gospodarskiéj praktyki; igła, krosienka lub kuchnia stają się dla nich zupełnie prawie obcemi. Za to każda z nich gra fantazye na fortepianie, śpiewa wielkie arye włoskie i mówi po angielsku. I na co im się zda ta cała wystawność światowa, przy coraz bardziéj utrudniających się stosunkach towarzyskich?

Sąd o małéj operetce pod tytułem oberżystka z Elizondo, należy z prawa do naszego recenzenta muzykalnego; unikając więc kłótni domowéj, nie będę się wdawał w jego attrybucye.

To nam przypomina Rabelais'go, który już przed trzema wiekami we Francyi użalał się na coraz więcéj krzewiącą się chęć do zbytków i wystawy światowéj. Tłumaczył on jednak to po swojemu na korzyść współziomków, którzy wyczytawszy w ewangelii że ubogim łatwiejszy jest wstęp do nieba, starają się ile możności jaknajprędzéj potracić majątki, żeby usunąć wszelkie zapory stojące im na drodze do wiecznego uszczęśliwienia. Mnie się zdaje że i my trochę za bardzo sobie postępujemy po chrześciańsku, i że ten wstręt od wielkich dóbr ziemskich zadaleko nas poprowadzi. Kiedy naród nasz do szczętu zbiédnieje, to Europa pewnie nie pomyśli o zbudowaniu dlań ochronki. Historya uczy, że w narodach więcéj jeszcze jest egoizmu, niż w ludziach pojedynczych.

Warszawianie, pozbawieni na nowy rok „Hrabiny,“ która to opera, z powodu słabości Moniuszki, odłożoną została, pocieszyli się pięćdziesiątém przedstawieniem „Halki,“ na które, jak to już w zwyczaj u nas weszło kiedy afisze tę operę zapowiedzą, zabrakło w kassie teatralnéj biletów. Moniuszko zaledwie wyszedł z ciężkiéj słabości swojéj; ale przyjęcie jakiego doznało to jubileuszowe przedstawienie „Halki“ najskuteczniejszém będzie dlań lekarstwem.

Teatr Rozmaitości, jako nowość, dał nam czwarte czy piąte wznowienie „Mieszczan i Kmiotków,“ komedyi przerobionéj z niemieckiego, któréj w swoim czasie dobra gra artystów zapewniała powodzenie. Już to teatr Rozmaitości jest stałym w swoich zasadach. Całe pokolenia kształcą się w nim na jednych i tychże samych sztuczkach, wiecznotrwałych w naszym repertuarze, jak Molier we Francyi, albo Szekspir w Anglii. Teatr Rozmaitości odgrywa trochę względem publiczności tutejszéj rolę starego Jowialskiego w ulubionéj komedyi Fredry:

— Czy znacie tę bajeczkę?

— O znamy ją dobrze, słyszeliśmy już tyle razy.

— No, to posłuchajcie jeszcze.

I publiczność musi słuchać, a nawet, jak pani Jowialska, śmiać się i przyklaskiwać mężowi. „Figle! Figle!“ woła paradyz z zadowoleniem, a pan Jowialski się cieszy, że znalazł chętnych słuchaczów. Ale co to pomoże, cierpliwość najlepiéj nawet usposobionéj publiczności nie może być wiecznotrwałą, i przyjdzie czas że pani Jowialska nawet, przywiedziona do ostateczności, będzie uciekać od bajek, a mąż będzie je cztérem nagim ścianom rozpowiadać.

Gwiazdka Pana Niewiarowskiego, z czasowego pomieszkania w gazetach, przeniosła się do własnego domostwa, dając zarazem przytułek wielu innym artykułom, po wyższéj części z życia warszawskiego branym. Tego rodzaju humorystyczne publikacye pożądane są przez czytelników, i nie wątpiemy, że Gwiazdka dobre znajdzie przyjęcie.

Z nowym rokiem wyszedł z druku piérwszy numer „Magazynu mód“ pod nową redakcyą. Zaleca ten numer staranne bardzo wydanie i stosowny dobór artykułów, pomiędzy któremi odznacza się ustęp „Do Polek“ pani Pruszakowéj. Pod dobrą wróżbą redaktor Magazynu rozpoczął swoję pracę, bo pani Pruszakowa jest jedną z tych autorek, które najlepiéj przemawiać umieją do serc i przekonań rodaczek naszych. Autorki polskie, trzymając się drogi wytkniętéj im przez panią Klementynę Hoffmanową, nie mogą na niéj błądzić. Podziwiamy kobiéty o męzkich talentach, krzepkiém pisaniu i namiętnych wybuchach myśli; ale kochamy i szacujemy szczerze te, które podług nas najlepiéj pojąć potrafiły powołanie niewiast autorek, które nakłaniają do dobrego, kształcą młode pokolenie i starają się żeby wszystko co z pod ich pióra wychodzi było zdrową radą i nauką.

I „Kronika“ ukazała się już w zmniejszonym formacie, a pomnożonemi wiadomościami warszawskiemi. Szczęść jéj Boże na téj nowéj drodze! Takich pism, poświęconych głównie miejscowym sprawom, każde znaczniejsze miasto w Europie posiada kilka, czasem kilkanaście, i zwykle wszystkim dobrze się dzieje. To

także nie ulega wątpliwości, że z każdym rokiem liczba czytelników pism peryodycznych wzrasta, o czém łatwo przekonać się możemy z wykazów pocztowych, bo w Warszawie kontrola trudna. Za to znowu ubywa prenumeratorów na pisma zagraniczne, chociaż zawsze dzienniki nasze więcéj ich zyskują, aniżeli tamte tracą. Rezultat taki w każdym razie można nazwać pomyślnym, bo każde pismo nowopowstające albo przetwarzające się, nowych zyskuje sobie czytelników. Już trzy tysiące prenumeratorów, które były dawniéj najwyższym rezultatem o jakim pismo zamarzyć mogło, stały się obecnie średnią bardzo cyfrą. Prawda że i konto wydawnictwa zwiększyło się znacznie, że autorowie nie chcą dawać teraz artykułów dla chwały ujrzenia ich drukowanemi, że publiczność stała się więcéj wymagającą: aleć to jedno idzie za drugiém, i w żadnym razie nie należy się skarżyć na podobny stan rzeczy. Gdybyć tylko w wydawnictwie książek podobny postęp czuć się dawał. Ale tutaj wszystko idzie po dawnemu, owszem oporniéj może niźli przed dwoma albo trzema latami. I co powiecie? Talmud wydawany przez pana Orgelbranda rozchodzi się w 12,000 egzemplarzy, a sprzedane egzemplarze wszystkich dzieł Mickiewicza i do trzeciéj części téj cyfry nie doszły. Krzyczano na pana Merzbacha, że zrobi olbrzymi majątek na tém wydawnictwie; otóż niechajby ci co najgoręcéj przeciwko niemu powstawali, chcieli obejrzéć teraz rezultat dochodów i wydatków. Tak to z niejedném przedsięberstwem literackiém dzieje się u nas.

Że jednak amatorów literatury nie brak, dowodzi to, że rzadko kto pożyczoną książkę oddaje. Pod tym względem niesumienność do wysokiego jest posunięta stopnia. Znałem takich, którzy z pożyczonych książek poformowali sobie biblioteczki. Łatwy to sposób przyjścia do własności, a usprawiedliwiony przysłowiem francuzkiém, które mówi że wolno kraść trzy przedmioty: książki, psy i cygara.

Czy wiécie co w zeszłym roku najwięcéj przyczyniało Warszawianom zajęcia? Oto sessye. Tych sessyj była niezliczona moc; znam takich, którzy po dwadzieścia ich mieli na tydzień. Każde przedsięwzięcie musi miéć swoje sessye; nie założy się tu nawet nowy sklepik z wiktuałami, żeby przyszły jego właściciel nie zwołał na sessyą kollegów i nie rozważył z niemi kilkakrotnie jak tę rzecz urządzić. Owóż niedawno okazała się wielka niedogodność tego systematu. Jak wiadomo, przed nowym rokiem znaczne tu spadły śniegi, potém nastała odwilż i skutkiem tego po ulicach miasta porobiły się takie dziury i wyboje, że właśnie w czasie, w którym Warszawianie najwięcéj zwykli odwidzać się wzajemnie, środki kommunikacyi ulicznéj stały się prawie niepodobnemi. Owóż stróże kamieniczni, chcąc zaradzić złemu, złożyli sessyą pomiędzy sobą i poczęli długo roztrząsać, jakimby sposobem oczyścić ulice; a że, jak wiadomo, wszelkie u nas tego rodzaju zebrania nie odznaczają się zgodnością zdań, tak się i tu stało. Rzeczy poszły w odwłokę, i przez pięć dni ci co przejeżdżali przez ulice Warszawy, podobni byli do myszy w pułapce, którą dziecko na wszystkie strony potrąca, uderzając nią to o spód, to o wiérzch jéj więzienia. Nareszcie stróże zgodzili się, że trzeba wyrąbać ulice; ale przez ten czas woda sama już spłynęła i oszczędziła im téj pracy. Niestety, z tych małych niedogodności możnaby wziąć miarę, jak się często większe i poważniejsze kwestye rozbijają u nas.

Obecnie przybywa znów nowy powód do sessyj, ma się bowiem rozstrzygnąć w tych czasach konkurs hr. Starzyńskiego, na który przysłano aż 40 komedyj, po większéj części wierszem. I któżby śmiał utrzymywać, że brak dramatycznych talentów u nas? Do téj tak znacznéj stosunkowo cyfry największą było zachętą oznaczenie aż trzech nagród i stosownéj ilości pochwał, z wymienieniem nazwisk autorów. Reszta dostanie już chyba tylko promocyą.

W każdym razie niemała to robota dla komitetu sędziów, i mniemamy że nie tak prędko wyroku należy oczekiwać. Zanim te wszystkie sztuki przeczytają się i rozklasyfikują, a każdy z członków wszystko musi czytać, sporo czasu upłynie. My z naszéj strony życzymy, żeby sędziowie o ile możności najwięcéj mieli zajęcia, bo pomiędzy złem łatwo rozstrzygnąć, ale kiedy się kilka lub kilkanaście sztuk dobrych znajdzie, to już trudniejsza z niemi sprawa.

SZOPKA.

„...Była więc osóbka Pana Jezusa, a na boku Marya i Józef stojący przy kolebce, w postaci nachylonéj, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającéj. W górze szopki, pod dachem i nad dachem, aniołowie unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający *„Gloria in excelsis Deo.“* Toż dopiéro w niejakiéj odległości jednego od drugiego, pasterze padający na kolana przed narodzoną dzieciną, ofiarujący mu dary swoje, ten baranka, ów kózkę; daléj za szopą po obu stronach pastuszkowie, wieśniacy, jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy spieszący, dźwigając na ramionach barany, kozły, między któremi osóbki rozmaity stan ludzki i ich zabawy wyrażają. Panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, przedających chleby, niewiasty dojące krowy, żydów różne towary do sprzedania na ręku trzymających, i tym podobne akcye ludzkie.“

Taką to szopkę widział i opisał nam ś. p. ksiądz Jędrzej Kitowicz, kantor wolborski, proboszcz rzeczycki i kanonik kaliski, w drugiéj połowie zeszłego stulecia.

Dzisiaj cywilizacya zepsuła nam już szopkę.

Z kościołów przeniosła się ona do żaków, którzy przystroiwszy się cudacko i zbudowawszy sobie piękne teatrum, przyozdobione jaskrawym papierem kolorowym, pokazywali ludziom różne dziwowiska. A czasem lalki wypchane zastępowali zgoła ludzie żywi, owi żacy, co tym sposobem zarabiali sobie na chléb, którego niezawsze dla nich było podostatkiem. Wówczas występował jeden z pomiędzy nich, najpokaźniejszy, coś niby promotor uroczystości, i zaczynał od oracyi, zastosowanéj do dnia świątecznego, w któréj jednak czasem pogański Olimp mięszał się z Nazaretem i Betleem, bo na przedwstępie trzeba było wypalić pochwałę gospodarza, wielkich jego koligacyj i splendoru domu całego; a jakże tu się obejść bez muz i Apolla, a nawet piorunogrzmotnego Jowisza? — Potém, delikatném przejściem, występowała mocya szopkowa i przy odgłosie hucznych kolęd zaczynało się całe widowisko. Żacy sami grali w niém role, a szło to jakoś składnie i dobrze, nie brak im bowiem było wprawy; wszakże tyle razy jedno i to samo zmuszeni byli powtarzać. Więc po skończoném wszystkiém znalazł się i miodek, i orzechy, i jabłka, i mięsiwa co nie bądź, a i do kalety napływało trochę groszy, i żacy wychodzili w dalszą podróż, wspomożeni, posileni i weseli.

W dziedzictwie po żakach wzięli szopkę chłopcy uliczni, którzy nawet po części i nazwanie żaków po tamtych zabrali w spuściźnie. Rzadko jednak kiedy występowali oni sami z perorą i rolą, a pokazywali tylko jasełka z wypchanemi lalkami. Wszakże i tu była czasem na placu oracya, ale innego już zupełnie kształtu i treści, niebardzo ozdobna, ani nawet sensowna; chętnie jednak przyjmowano w dom tych gości, którzy, zwłaszcza u dziatwy, wielkie mieli łaski. Bo co téż to oni nie umieli kolend i śpiewek różnych, przeróżnych, których teraz ani części nikt nie pamięta! Zebrane były wprawdzie owe kolędy w starém wydaniu kantyczek, które teraz jest rzadkością, ale większa część śpiewek szopkowych zaginęła już z kretesem. Przekręcali je chłopcy jak umieli, zmieniając często i stosując do okoliczności, zawsze jednak szło to składnie, mieli bowiem swoich poetów, prawdziwych poetów, którzy im czasem całe sceny komponowali i układali.

Czasem nawet obyło się bez szopki, a wprost tylko była papierowa gwiazda obracająca się, ze światłem w środku; ale śpiewki starczyły za lalki i wszelkie inne szopkowe ozdoby, i było co słuchać, choćby przez godzinę całą. Duch ludowy wiał tam z każdéj strofki, z każdego wyrazu.

Dzisiaj zmieniły się rzeczy: tych kompozytorów szopkowych nie stało już, nie wiedzieć gdzie się podzieli, dość że przepadli jak kamień w wodę. Jeszcze tam po wsiach zachowują się w części dawne tradycye, ale w miastach szopka zupełnie inny przybrała pozór. Szczególniéj w Warszawie ani już poznasz dawnego widowiska. Obnosiciele szopki porobili sobie jakieś teatrzyki z kurtynami, ze zmianą dekoracyj i prawdziwą maszyneryą. Czasem nawet muzykę wodzą z sobą, bez któréj zawsze obywało się dawniéj, bo ktoby tam o akompaniamencie myślał. Po prześpiewaniu jednéj albo dwóch najwięcéj kolęd, które jeszcze dawnym idą trybem, podnosi się kurtyna, i ukazują się oczom widzów sceny, parodyowane wprost z teatru Rozmaitości, albo wzięte z piérwszéj lepszéj książki, która wpadła w ręce właścicielom szopki. Jakiś zbójca z panną, która go się prosi o życie, jakieś wesele krakowskie i biédny rybak z dobrze znanemi śpiewkami, które niegdyś po całéj Warszawie obiegały, i druciarz, który śpiewa piosnkę wyjętą z Noworocznika pani K** i Bóg wié nie co jeszcze. A za każdą nową sceną kurtyna zapada i dzwonek donosi o zmianie dekoracyi. Tylko niéma dawnych śpiewek i owych wszystkich narodów, począwszy od pasterzy ze swoją trzodą, aż do kusego Węgra z olejkami i sławną pomadą, którzy przychodzili się pokłonić Panu Jezusowi. Król Herod pozostał także, ale zrzucił dawne łachmany, i przywdział na siebie strój co do joty z króla czerwiennego kopiowany. Jego marszałek dworu występuje w ubraniu greckiém lub rzymskiém, ze złotym puklerzem i dzidą; śmierć wprawdzie przychodzi po staremu ścinać głowę, ale za to diabeł nie wyłazi jak dawniéj z pod ziemi, ale spuszcza się z sufitu, by porwać swoję ofiarę, i unosi króla Heroda w powietrze, przyczém kurtyna zapada.

Jeden tylko obraz pozostał z dawnéj przeszłości, chociaż i tak uległ już zmianie niejakiéj. Dawniéj wychodził dziad z torbą, prosty dziad, podobny do tych, którzy niegdyś siadali przy kościołach, bo teraźniejsze żebractwo niéma już żadnéj z niemi styczności. Dziad ten miéwał na pogotowiu zapas różnych piosnek, które także już po części zaginęły: jeżeli mu datek rzucony w torbę wydawał się zbyt szczupłym, potrząsał rękoma i brodą, a poczynał nową piosnkę, aż dopóki nie przydano jakich kilka groszy. Dziad dawny pozostał wprawdzie jeszcze u niektórych stronników starego systematu, których bardzo niewielu jawi się po mieście, i zaledwie po ubocznych odważają się pokazywać ulicach, tak silny wywarło na nich nacisk owe współzawodnictwo dekoracyjne i muzyczne; ale w szopkach ucywilizowanych dziada zastąpił ksiądz kwestarz, i chociaż zawsze on śpiewa piosnkę dziadowską, strzeże się jednak dawnych *głupstw*, które nie przystoją artystom co brali piosnki z teatru, przybór dekoracyjny od malarza pokojowego, a figurki i kostiumy do nich, z handlów norymbergskich.

Ale bo i jakże żądać, żeby dawny ów nasz dziad poczciwy mógł się ostać w wieku kolei żelaznych, telegrafów elektrycznych i balonów przelatujących w trzy dni niespełna z Ameryki do Europy?

Nie wiem czy tam *papry* krakowskie, których podobno plemię zastąpione już prawie zostało zwyczajnemi wielkomiejskiemi ulicznikami, nie wiem czy te historyczne *papry* zachowały dawne zwyczaje szopkowe i tradycye starych piosnek, ale u nas już ta tradycya zagasła prawie do szczętu.

Znaleźli się poeci, którzy zachcieli dla szopki i szopkarzy osobne libretto napisać, a potém rozpowszechnić je pomiędzy nimi. Teofil Lenartowicz napisał nawet poemacik pod tytułem *Szopka*, chociaż mniéj on udatny od innych utworów tego ludowego poety. Ale trudne to, bardzo trudne zadanie. Lud najlepszym jest sędzią w rzeczach które go bliżéj obchodzą, a nie łatwy on w wyborze i rzadko co przyjmie i uzna za swoje. Narzucić mu nic nie można. Mało bardzo piosnek, nieutworzonych przez poetów pochodzenia prawdziwie ludowego, przeszło do serc prostactwa i pozostało w jego ustach. A jest to może prawdziwą zasługą pieśniarza i największém dlań uznaniem, jeśli tego dokazać potrafił.

Zdaje się że najlepiéjby było, zebrać szczątki z dawnych, prawdziwych piosnek szopkowych, które jeszcze do nas przetrwały, i ułożyć je w jednę całość. Ale któż tego dokona? Któż oczyści to wszystko z tych napływowych elukubracyj, które jak warstwa popiołów, ciągle jedna nad drugą pokrywały rok rocznie biédne to jasełkowe Herkulanum?

W tych dawnych kolędach i jasełkach, jak we wszystkich tego rodzaju utworach ludowych, widne były dzieje biédnego ludowego życia. Taż sama to zawsze historya, też same utyskiwania, żądze, sympatye, nienawiście i nadzieje też same. Jak to te Jontki, Bartki, Maćki i Kuby filozofują tam z sobą i witają Dzieciątko nowo narodzone, aż miło czasem posłuchać.

Szczére serca, szczére dusze. Ale znają swoje wady, jak naprzykład ów Kuba, który przyszedłszy do stajenki:

Dobył tak pięknego głosu baraniego,
Aż się Józef stary przestraszył od niego....
.... Więc rzecze mu Józef: nie śpiewaj tak pięknie,
Bo się Dzieciąteczko twego śpiewu zlęknie...,

I Kuba zamilkł. Toż on chciał tylko Pana powitać po swojemu; biédak nie miał co dać, zboże mu nie obrodziło, dobytek pozdychał, w komorze i oborze pusto, zaledwie się tam gdzie kromka czarnego, zeschłego chleba wałęsa. Ale nic to, Kuba śpiewać umié za to różne prześliczne piosneczki, choć czasem za huczne; kiedy się nam tak dobra nowina stała i wszyscy idą Pana powitać, poczciwy Kuba chociaż śpiewem uraczy Dzieciątko Boże. A że mu się śpiéw nie udał, no... to trudno, czém chata bogata tém rada. Inni przynieśli barany, i zboże, i zgoła nawet chléb już i kołacz gotowy, i różny dobytek, a zawsze z muzyką. Jak tam im ona idzie, to idzie. Przekora Tomek złoił skrzypki Bartkowi, jakże miały grać? Ale dobra chęć była zawsze.

To tylko jedna, i to w drobnéj cząsteczce, z tych tysiącznych pieśni kolędowych, z których każda w tak różnobarwne przystrojona obrazy. Jest tam pieśń pomiędzy niemi, w któréj reprezentant każdego narodu przychodzi się kłaniać Dzieciąteczku, a każdy mówi po swojemu i charakter każdego odmalowany w kilku wierszach. A rzeczywiście, ten *Labruyère* ludowy poradził sobie dobrze. Niektóre rysy tak zręcznie tam uchwycone, że dziwić się zaprawdę przychodzi, zkąd ludowi prostemu wzięło się tyle świadomości.

Ale pomówmy téż co i o samém przedstawieniu. Jakżeż tam wybitnie występują i jaskrawo malują się różne stany społeczeństwa, różne przywary i cnoty? Posłuchajcie no tylko piosnki o tém biedném wilczysku. Musiał ją jakiś zapamiętały ludowy satyryk układać, a w każdym razie był to wróg kobiét, może jaki wiejski Sokrates, któremu już żona na dobre dojadła, a zbrakło mu filozofa greckiego cierpliwości i wyrozumienia.

O i patrzta, tam za górą wilczysko tańcuje!
....A czemuż to tak wesoła ta leśna bestya,
Widać się nie ożeniła, kiedy tak wywija.

Ale niedługo téj radości i hasania, przyszła kréska na Matyska.

Wilczysko się ożeniło, uszyska spuściło,
Au! au! au! au! cóżem ja zrobiło.!

To cały dramat, albo raczéj komedya, w tych kilku wierszach. Nie bój się wilku, Dzieciątko się narodziło, to na szczęście dla wszech stworzeń, na poprawę dla złośliwych, więc i twoja żona opamięta się, udobrucha i sfolguje tobie.

Historya o Małgorzatce, co całe swoje życie przetańczyła z hułanami, to już wymysł nowszych czasów; takich Małgorzatek nie było niegdyś tutaj, dopiero kiedy niebo zachmurzyło się trochę, zaczęły one hurtem wyrastać, jak pieczarki po niepogodzie.

A oto znów chłopki wstają i swarzą się, zaraz powstawszy; pewnikiem kije i pięście będą niedługo w robocie; zwykle polska natura, trudno zgodzić się na jedno, choćby w najuroczystszéj chwili. Ale jak się pobili, tak się i godzą zaraz, bo to dobre i uczciwe serca; więc się całują, i płaczą, i przepraszają wzajem. Będzie wielka hulanka.

Zabił Maciuś wieprzaka, a my o tém wiemy;
Nie pójdziemy nigdzie, aż kiełbaskę zjemy
Kiełbaska na rożnie, śpiewajmy pobożnie:
Hej kolęda, kolęda!

Będą więc pożywali dar Boży, ale i pieśni pobożne będą śpiewali przytém; bo to nie sztuka zjeść, trzebaż za to dobro i Panu Bogu podziękować.

Ale cóż tam ludzie, nie dziwić się ludziom, co mają rozum, ale tutaj i nieme bydlęta przeczuwają jakieś wielkie szczęście dla siebie. Ot na przykład uczy nas o tém króciuchna piosnka o kozie, która brzmi jak następuje:

Tańcujże kozo, tańcuj niebogo,
A da ci nasz pan półtora złotego,
A da ci nasz pan czerwony złoty,
I będziesz miała kozo na bóty.

I słusznie, wszak to zima, śnieg wszędzie zaległ pola, więc nawet i biédnéj kozie nogi muszą marznąć. A chłopek nasz czuje to dobrze, on, któremu niezawsze na całe obuwie starczy. Ale przed panem żalić się nie można, on tego nie lubi, trzeba mu zatańczyć, zaśpiewać, to wówczas przyjdzie może panu fantazya i okroi się coś biédaczkom.

Nie skończylibyśmy, gdybyśmy chcieli tu z kolei przechodzić wszystkie fazy jasełkowe. Więc lepiéj od razu przystąpmy do króla Heroda, bo to uwieńczenie dramatu, to jego sens moralny. Król Herod, to nasza *danse macabre*, znany taniec śmierci średniowiecznéj, zawsze jeden i tenże sam wynik, historya to dobrze znana. Nie lada to był mocarz, „miał on cały świat z gwiazdami pod swojemi nogami“; więc się nie lękał niczego, krom owego dziecięcia, co to miało się na lichém sianie w żłobie narodzić. Ale miał on jednak sposób i na to.

— Wołać tu mi marszałka!

Przychodzi marszałek.

— Niech mi będzie wszystko wysiekane, wyrąbane, żadnego pardonu nie dawać.

I w jedném mgnieniu oka spełniony rozkaz. Ale Herodowi coś źle na sercu, nieborak przeczuwa biedę swoję. Więc mu się na łzy zbiéra, a tymczasem słyszy śpiéw:

Dziś dzień Herodzie, dziś dzień bogaczu,
Dziś dzień wesela, ale nie płaczu.
Jak słońce świeci w srébrzystém kole,
Tak ty zlicz swoje troski i bóle.

Tak zaprawdę, istny to wesela dzień; ale nie tobie radować się Herodzie. Ot patrzaj, przychodzi do ciebie śmierć, owa dama jasnokoścista. Napróżno będziesz jéj ofiarował i skarby twoje, i władzę, nawet złotą koronę i dyamentowe berło, ona tylko głowy twojéj pożąda.

I padł Herod, ów mocarz sławny, co to rozkazywał wszystkim ludom świata, a diabeł przychodzi po jego duszę, jako po swoję własność, oszczędzając marszałka, bo ten nic nie winien, wszak on tylko rozkazy wypełniał. A kiedy diabeł ów „zrodzony z ojca kruka, z matki wrony“ zabrał już tę czarną herodowską duszę i ulokował ją na dobre w piekle, wraca znów na scenę, i śmieje się, i tańczy, i hula po swojemu.

A czy wieta ludzie czego ja się śmieję?
Bo mi się na świecie teraz dobrze dziejc.

Zapewne, coć za krzywda diabłu? Alboż to mało teraz ludzi, którzy mu się zaprzedali i służbę mu pokorną czynią? Przyjdzie jednak i na niego kres, i zgadnijcie kto go zwalczy i odeśle napowrót do piekła? oto po prostu baba.

Więc się skończyło wszystko, i tylko wychodzi dziad chudzina.

Stary dziadek brodą chwieje,
Bo mu zimno przy kościele,
Żeby państwo dobrzy byli,
W kościele piec postawili.

Piec w kościele postawić trudno, ale któżby chciał być tak nieczuły i żałować kilku groszy na zakąskę i rozgrzanie się biednemu dziadzinie, który się za nas wszystkich modli, a przebył wszystkie ciężkie próby życia, i tylko teraz o chwale Bożéj myśli? Boć to podobno i na tém kończą się wszystkie sprawy ziemskie, a pod kościołem, choć zimno i wiatr ze wszystkich stron podwiewa, najlepsza jednak jest ochrona dla tych, co przez czas ziemskiéj swéj wędrówki nie zapomnieli modlitwy, któréj ich w dzieciństwie uczyły jeszcze święte usta matczyne.

Wacław Szymanowski.

SPRAWOZDANIE

Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU I WYNALAZKÓW.

Jesteśmy, jak się zdaje, na pewnéj drodze do odkrycia, które zupełnie obalić może dotychczasowe wyobrażenia o przyrodzie księżyca. Wiadomo z opisów tego towarzysza ziemi, że w niektórych miejscach jego tarczy znajdują się wązkie pasy, poprzerywane bruzdami, i dotąd naliczono ich około stu, rozciągających się po największéj części w liniach prostych, a niekiedy zaokrąglonych, pomiędzy brzegami równoległemi, rysującemi się ostro. Dotąd mniemano, że bruzdy owe są albo korytami wyschłych rzek, lub téż strumieniami dotąd płynącemi. Wielu astronomów uważało je za lawę, powstałą ze strumieni wylanych z wulkanów księżyca. Pasy te najsilniéj odbijają światło słoneczne. Obecnie gorliwy i uczony badacz-astronom Schwabe, wyjaśnia nader interesująco ich przyrodę. Przypatrując się bardzo starannie, za pomocą silnych lunet, powierzchni księżyca, przy sprzyjających warunkach oświetlenia, dostrzegł on pomiędzy bruzdami świetnemi wysokié góry, zwanéj Tycho, wązkie, równoległe linie, barwy zielonéj, których na kilka miesięcy przedtém wcale nie było, a które następnie po niejakim czasie znowu zniknęły. Że zaś z niknięciem ich barwy, słabnie także i prawie znika świetny blask owych niewytłumaczonych bruzd, a zatém daje się, że powstają skutkiem wegetacyi. Wegetacya ta ciemnozielona, któréj ukształtowanie w linie proste i regularne pozostaje dotąd zagadką, nadaje silniejszy blask pasom pośrednim, pozbawionym roślinności. Na poparcie powyższego przypuszczenia astronoma Schwabe, możemy przytoczyć tę okoliczność, że przypatrując się bardzo bacznie ślicznym stereoskopom księżyca, otrzymanym przez Warrena de la Rue, owe mniemane rzeki nie przedstawiają się wklęsło, lecz przeciwnie wypukło, na podobieństwo rozciągłych lasów. Istnienie więc bujnéj roślinności na księżycu zdaje się że nie ulega już wątpliwości. Dawna teorya, odmawiająca księżycowi wody, powietrzokręgu i wszelkiego życia organicznego, upada, a regularne kształty tych już prawie dotykalnych lasów, zdaje się że nie są igraszką przyrody, ale raczéj skutkiem sztucznego zasiewu i pielęgnowania, że zatém są tam istoty mogące się zajmować ogrodnictwem i leśnictwem. Odkrycie to niezawodnie da silny popęd do poszukiwań nowych uczonym, którzy w ostatnich latach tak olbrzymim krokiem rozwinęli i posunęli naprzód udoskonalenie narzędzi astronomicznych.

W szeregu ciał, które chemia uznaje w dzisiejszym stanie wiadomości jako pierwiastki niezłożone z innych, a przynajmniéj niedające się dotychczas znanemi środkami rozłożyć na części różnorodne, wiele jeszcze jest takich, które albo mało dotąd poznane, albo napotykane w naturze w małéj bardzo ilości, albo nakoniec trudne do otrzymania lub zachowania w stanie odosobnionym, dotąd nie mają żadnego użytku i zastosowania w sztukach lub przemyśle. Przy postępie nauki liczba tych ciał nieużytecznych coraz bardziéj się zmniejsza. Przed laty trzydziestu dziela chemiczne, opisując jod i brom, dodawały w końcu, że ciała te dotąd nie mają żadnego zastosowania w użyciu; dziś już w nich sztuka lekarska znalazła bardzo energiczne i zbawienne środki, a fotografia im winna swoje istnienie. W szeregu metali liczniejszym był jeszcze spis tych bezużytecznych osobliwości; o niektórych tyle nawet tylko umiano powiedzieć, że w stanie czystym nie dadzą się otrzymać. Wap, glin, krzem i inne pokrewne im metale, tak zwane ziemne, znane były tylko w proszku, nieusprawiedliwiającym bynajmniéj ich metalowego charakteru. Dziś glin zajął już należne sobie miejsce między metalami, nietylko użytecznemi, ale nawet odznaczającemi się wielkiemi zaletami. Lekkość, piękna barwa i wytrwałość na wpływy atmosferyczne, uczyniły go pożądanym téj gałęzi przemysłu, która dotąd tylko ze złotem i srébrem miała do czynienia; wyroby jubilerskie z glinu szybko upowszechniają się, i bardzo na to zasługują powabnym pozorem. Ostatnie ulepszenia w lutowaniu i złoceniu glinu, nie pozostawiają już nic do zarzucenia łatwości zastosowania go do najrozmaitszych wyrobów, i na ostatniém posiedzeniu akademii nauk w Paryżu, nietylko powszechną uwagę, ale nawet podziwienie wzbudzał wspaniały szyszak, zamówiony przez króla duńskiego, a wyrobiony w zakładzie panów de la Chaussée i Mourcy, odznaczający się nader gustownem połączeniem części polerowanych, metalowych i złoconych, tudzież artystyczném cyzelowaniem. To arcydzieło sztuki waży zaledwie półtora funta, chociaż posiada moc i trwałość ciężkich, starożytnych hełmów stalowych.

Powodzenie glinu, o którego metalicznéj postaci przed kilku jeszcze laty nikt nie marzył, wywołało gorliwe prace wielu uczonych chemików, około innych, podobnych mu chemicznemi własnościami metali, i mamy wszelkie prawo spodziewać się otrzymania metali z wapna, krzemionki, magnezyi i t. p. niedokwasów.

W innéj, grupie metali, między molibdenem i uranem (który, nawiasem mówiąc, zaczyna wchodzić w użycie w fotografii), mieści się dawno już znany, ale bardzo mało opisany tungsten (albo wolfram, odkryty przez Scheelego r. 1781). Nikt o nim nie słyszał za obrębem nauki chemii, bo go dotąd żadne rzemiosło, ani nawet sztuka lekarska na swój użytek nie obróciła. Otóż teraz odrazu nazwa ta upowszechnia się, i chemicy muszą się postarać o otrzymywanie najtańsze i najobfitsze jeżeli nie samego tego metalu, to przy-

najmniéj soli tworzącéj się z połączenia jego kwasu z sodą. Tungstenian sody, rozpuszczony w wodzie, nadaje wszystkim ciałom organicznym zamoczonym w tym roztworze, najzupełniejszą niepalność, począwszy od drzewa, aż do najdelikatniejszych tkanek, muślinów i koronek, którym zamoczenie w roztworze tungstenianu sody nie odejmuje ani białości, ani połysku, ani miękkości. Środek ten zapobieży tysiącu wypadków nieszczęśliwych. Cała garderoba cesarzowéj Eugenii zaprawiona jest tym preparatem i przy każdém praniu przepłukuje się w jego roztworze. Skoro tylko sól tungstenowa wyrabiać się będzie mogła po nizkiéj cenie, nie wątpimy że wszystkie gospodynie używać jéj będą dla bezpieczeństwa od ognia tak starannie, jak dziś używają krochmalu i farbki, dla nadania bieliznie pięknego pozoru.

Coraz większa potrzeba jedwabiu i choroby dotykające od kilku lat jedwabniki, spowodowały staranne, dochodzenia, czy i inne rodzaje tych skrzydlatych stworzeń nie mogłyby z oprzędów swoich dostarczyć podobnego materyału. Poszukiwania te nie pozostały bez skutku. Przekonano się że ćmy utrzymujące się na pewnych gatunkach dębów, tudzież na kleszczowinie (dającéj znany olej rycynowy), wydają jedwab' albo w niczém nieustępujący produktowi jedwabników, albo przynajmniéj zbliżający się do niego. Dotychczas atoli otrzymywano z nich tylko pośledniejsze gatunki jedwabiu, bo nie umiejąc rozwijać oprzędów, poprzestawano na gręplowaniu ich i przędzeniu. Obecnie już i oprzędy ćmy dębowéj i kleszczowinowéj dają się bez zerwania rozwijać, a nadto przekonano się, że dla ćmy kleszczowinowéj wyborném pożywieniem są kwiaty rośliny bardzo u nas pospolitéj, nazywanéj zwykle lilią niebieską lub kosaćcem (Iris). Nowe te odkrycia nie pozostaną zapewne bez wpływu na produkcyą i cenę jedwabiu.

Niepce de St. Victor, który już wielą bardzo ważnemi odkryciami wzbogacił fotografią, zajmując się obecnie badaniami i doświadczeniami nad wpływem światła słonecznego na rozmaite ciała stałe i płynne, uczynił bardzo ważne odkrycie dla lubowników i kupców wina. Przekonał on się że wszelkie wina, wystawione przez kilka dni na działanie słońca, w naczyniach z białego szkła, pełnych i szczelnie zamkniętych, zyskują smak starego wina, a w każdym razie stają się lepszemi. Tak więc poprawa win, która dotychczas odbywała się w piwnicach, czy to przez długie wystanie, czy przez rozmaite sztuczne a skryte w ciemnościach przyprawy, dziś już odbywać się może przy białym dniu, nie lękając się jasności, owszem przy pomocy światła. Czy wszyscy fabrykanci win zechcą się dlatego zrzec swoich tajemnych praktyk, za to nie ręczymy.

KRONIKA STZUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Koncerta.—50te przedstawienie „Halki“ w dzień Nowego roku.

Muzykalne poranki w salach redutowych Józefa Wieniawskiego, najpomyślniejszym skutkiem uwieńczone zostały; szczególniéj trzeci i ostatni do rzędu osobliwych u nas policzonym być powinien, tak wielka liczba słuchaczy napełniła środkową i dwie poboczne sale. Więc teraz możemy stanowczo sobie powiedzieć, że zamiłowanie do poważnéj muzyki wzrasta u nas z dniem każdym, że pomyślność tego rodzaju przedsiewzięć jest pewną, jeżeli artyści, pragnący występować publicznie, zwrócą całą troskliwość swoję na staranny wybór dzieł przez siebie wykonywanych, a zaniechają czczych popisów mechanicznéj na instrumentach biegłości.

Rozpatrzmy teraz co Wieniawski w trzech swoich porankach publiczności naszéj przedstawił. Widzimy najprzód „Septuor“ Hummla, „Kwintet“ Schumanna, dwa „Tria“ Mendelsohna, „Sonatę“ na wiolonczellę i fortepian tegoż, „Hommage à Haendel“, duet na dwa fortepiany Moschelesa, „Medytacyą“ Bacha, „Cosi fan tutti“ Mozarta, ze współudziałem najlepszych tutejszych artystów, a mianowicie: pp. Dulckena, Hornziela, Goebelta i t. p. Z ustępów solowych na fortepian: „Rapsodyą węgierską“ Liszta, „Poloneza“ Chopina, „Fantazyą“ z motywów „Normy“ Thalberga i samego Wieniawskiego, „Nokturna“ Fielda i „Perpetuum Mobile“ K. M. Webera. Część zaś wokalna przypadła na pannę Konarską, kwartet Studzińskiego, Zawiszankę i pana Władysława Zahorowskiego.

W nadzwyczajnéj troskliwości o powagę imion wielkich, klassycznych kompozytorów, Wieniawski niedosyć może śmiały i wyraźny ze swemi pracami wziął w tych porankach udział; oprócz „Walca koncertowego“, utworu pełnego salonowéj piękności, i jednéj piosnki, odśpiewanéj przez pannę Konarską, pod tytułem „Pieśń wiosenna,“ nic więcéj z kompozycyj tego znamienitego artysty nie spotykamy; a szkoda, bo prace jego należą do rzędu tych, co natchnieniem i techniką wychodzą z szeregu zwyczajnych utworów; bo w nich talent niepospolity, wyrażony w formie skończonéj, ożywionéj myślą wyższą i głęboko nieraz sięgającą, dozwala temu artyście stanąć w szeregu wybranych i słusznie cenionych, najznakomitszych nawet kompozytorów. O wykonaniu wszystkich tych wymienionych dzieł niewiele powiemy; było ono godne imienia, jakie sobie Wieniawski wyrobił nietylko u nas, ale u obcych nawet. Wyższe pojęcie, jasność w tłumaczeniu, uczucie i ogień, ogromny zasób mechanizmu, oto główniejsze cechy fortepianowéj gry Wieniawskiego. Analizować jéj tutaj w drobiazgach nie możemy, zbyt wiele bowiem miejscaby nam to zabrało, a pragniemy jeszcze słówko powiedzieć o Zawiszance, o któréj wystąpieniach w „Faworycie“ wspominaliśmy już w poprzednich numerach „Tygodnika“ Na ostatnim poranku odśpiewała ona aryą z „Tamerlana“ Haendla, „arioso“ z „Proroka“ Meyerbeera i duet z „Macbetha“ Verdego, ten ostatni wraz z p. Władysławem Zahorowskim. Głos niezmiernie bogaty i piękny, obdarzony do tego niepospolitą siłą uczucia dramatycznego, każde wystąpienie téj artystki czyni niezmiernie zajmującém; szczególniej nizka skala jéj organu, stanowiąca charakterystyczny a nadzwyczajnie dzisiaj rzadki przymiot scenicznego śpiéwu, jest, będzie i powinna być zawsze dla Zawiszanki rzeczą największéj wagi. Dobrych sopranistek i mezzo-sopranistek nie brakuje nigdzie, kontr-alty zaś należą zwykle do osobliwości; więc kogo natura obdarzyła tak pięknym i rzadkim głosem, ten obowiązany jest pielęgnować i uprawiać go stosownie, a pod żadnym pozorem nie wdzierać się w sfery niewłaściwe, przystępne z resztą dla wszystkich innych sopranistek.

Ogólny rezultat z tych trzech poranków Wieniawskiego, wypada korzystnie dla artystów, chlubnie dla publiczności, która dowiodła iż nie jest obojętną dla sztuki, gdy ta w sposób szlachetny do niéj rada przemawiać. Na poparcie tego zdania, możemy jeszcze przytoczyć dwa koncerta z liczby owych dziesięciu, mających się dać w resursie kupieckiéj, a którym Apollinary Kątski podjął się przewodniczyć. Piérwszy z nich miał miejsce dnia 10, drugi 21 zeszłego miesiąca. Dla posłyszenia 5éj *symfonii* i *septuoru* Beethovena, *fantazyi* Moniuszki na orkiestrę pod tytułem *Baśń zimowa* i jeszcze kilku innych, lubo mniéj znaczących kompozycyj, zeszło się wielu słuchaczy. Prawda że smyczek Kątskiego dla niemałéj liczby osób ma także swoje znaczenie, urokiem swym snadnie ich przyciąga; lecz nie ma wątpliwości, że najdzielniejszy nawet artysta, jeżeli nie będzie dzisiaj poparty istotnie dobrą muzyką, nic nie poradzi, nikogo do sali nie ściągnie.

Radzibyśmy już skończyć z koncertami, ale jakże pominąć najważniejszy z nich, dany dnia 29 z. m. w resursie kupieckiéj na korzyść zupy rumfordzkiéj? Gdy wszystkie powyżéj wymienione miały na celu albo osobistą korzyść, albo zabawę tylko, ten przeciwnie ułożony został w pięknéj i szlachetnéj myśli ulżenia cierpiącéj ludzkości. Skwapliwie téż najznakomitsze nasze talenta amatorskie udział w nim przyjęły; publiczność, pomimo okropnéj niepogody, pobiegła chętnie obecnością swoją uczcić tych, co w chwalebnéj dążności składali wspólny grosz na ołtarzu miłosierdzia.

Zapowiedziana przez pisma publiczne na nowy rok *Hrabina*, opera Moniuszki do słów Włodzimirza Wolskiego, z powodu słabości zdrowia jéj kompozytora, odłożoną być musiała na późniéj. Tymczasem miłośnicy sztuki ojczystéj, nie mogąc cieszyć się nowym utworem, w dniu tym przysłuchiwali się z rozkoszą i zapałem *Halce*, która w przeciągu lat dwóch dostąpiła zaszczytu *pięćdziesięciokrotnego* przedstawienia. Doprawdy, dziwnym jest powab rodzinnych dźwięków muzyki; jakaś siła tajemna, duchowa, wiąże i przyciąga nas do tego dzieła, rozbudzając uczucia, jakich największe obce arcydzieła wzniecić w nas nie są w stanie. Nie jest to abstrakcyjne uwielbienie dla melodyi, ani téż dla głębokiéj uczoności kombinacyj harmonijnych, co nas tak zniewala do *Halki*, ale jakiś serdeczny, połączony z tradycyą stosunek, co słowy i piórem niełatwo się da wypowiedzieć. Moniuszko, lubo jeszcze cierpiący, w dniu tym postanowił stanąć na czele orkiestry, i jak przykładny wódz w ważniejszych chwilach działania, poprowadzić swą armią do akcyi osobiście. Przyjęcie jakiego doznał ze strony publiczności, napełniającéj wszystkie miejsca teatru, było nagrodą za jego talent i trudy. Panny: Rivoli, Chodowiecka, pp. Dobrski, Troschel i Ziółkowski, godnie wywiązali się ze swego zadania. Lecz jest jeszcze ktoś, co od wszystkich tych scenicznych powodzeń ukryty zawsze za kulisami, więc niewidzialny, w głębi tylko swego serca cieszy się nieprzerwanemi tryumfami tego dzieła..... Obowiązek sprawiedliwości nakazuje nam go wymienić: jest nim reżyser opery, p. Matuszyński. On piérwszy przed dwoma laty zaproponował artystom wystawienie *Halki*, on piérwszy nie szczędził namowy i zabiegów, ażeby niechętnych z razu artystów nakłonić do tego przedsięwzięcia. Gdyby nie on, gdyby nie jego gorliwe i niczém nie dające się wstrzymać usiłowania, *Halka* możeby do dnia dzisiejszego spoczywała na półkach, okryta pyłem zapomnienia. Poparty organami dziennikarskiéj prassy, opinią publiczną, staraniami nareszcie artystów, którzy w ciągu prób przywiązywali się do tego dzieła coraz więcéj, wystawił je nareszcie, a dzisiaj z rozkoszą zapewne cieszy się w głębi serca z zasłużonych powodzeń téj prawdziwie narodowéj opery. Dziwna rzecz, pomimo jubileuszowego na scenie przedstawienia, pomimo prywatnego i publicznego osłuchania się z melodyami *Halki*, są one zawsze dla nas tak świeże, tak wdzięczne, jak woń kwiatu tylko co z łodygi zerwanego. Podobno w duszy naszéj szukać potrzeba klucza do rozwiązania téj zagadki.

BIBLIOTEKA NARODOWA

IMIENIA OSSOLIŃSKICH

WE LWOWIE.

Wspaniały ten pomnik obywatelskiéj gorliwości jednego z najzasłużeńszych mężów w piśmiennictwie polskiém, winien założenie i istnienie swoje hr. Józefowi Maksymilianowi Ossolińskiemu, który całe swe życie i mienie poświęcił téj jedynéj myśli, aby zgromadziwszy wielkim kosztem znakomity zbiór skarbów naukowych, mógł go poświęcić na użytek i ku dobru powszechnemu.

Wielkie zaiste położył on zasługi w literaturze uczonemi badaniami, które w dziełach swoich zostawił; ale nierównie większą jest pamiątką ten dar, co imię jego w długie wieki wdzięcznéj potomności przekazują. Początek tych zbiorów sięga roku 1790, wtedy bowiem Ossoliński zaczął być znany w całym kraju jako szczególny miłośnik książek polskich, zgromadzający to wszystko, co bibliotekę jego pomnożyć i zbogacić mogło, który nie zaniedbywał żadnéj sposobności, nie szczędził żadnego trudu i kosztu, aby tylko zdobyć i posiadać rzadkość bibliograficzną; zadanie tém trudniejsze w owym czasie, że byli i inni lubownicy, co idąc tym samym torem, ubiegali się o podobne zabytki. W ten sposób sformował Ossoliński znaczną bibliotekę, która wyłącznie miała się składać z dzieł polskich i słowiańskich. Jakoż dotąd w tych oddziałach jest ona najobfitszą. Lecz z czasem gorliwe staranie jego o rozszerzenie oświecenia publicznego, większą rozciągłość zamiarowi temu nadało; gromadził dzieła, ryciny, medale, mappy nietylko krajowe, ale i z obcéj literatury. Piérwotnie chciał on umieścić swoję bibliotekę przy akademii Zamojskiéj i już był zrobił układ z ordynatem hr. Zamojskim w r. 1804. Lecz gdy granice ówczesnéj Galicyi zmieniły się, na umieszczenie swego zbioru Lwów przeznaczył.

Zgodził się chętnie na ten projekt cesarz austryacki Franciszek I w r. 1809, a kiedy Ossoliński wygotował osobną ustawę, w któréj jaknajprzezorniéj zachowanie i byt biblioteki zabezpieczył, tenże sam cesarz przywilejem z dnia 4 czerwca 1817 r. takową zatwierdził i zakład pod swoję opiekę przyjął. W tym-

że samym roku zjechawszy do Lwowa, kupił mury po spalonym klasztorze karmelitanek, i na tém miejscu własnym kosztem rozpoczął budowę gmachu bibliotecznego, podług planów hr. Nobile, który w późniejszych latach ukończony i stosownie przerobiony, poniższy drzeworyt przedstawia. Chcąc zaś stałe istnienie swemu zakładowi zapewnić, dobra zwane Wola Mielecka, Piątkowiec, Zgórsko i inne w obwodzie tarnowskim, a Strzelce i Widow w obwodzie bocheńskim do biblioteki wcielił, i dochód z nich w ustawie wyrażony, na potrzeby jéj przeznaczywszy, pod szczególny dozór stanów krajowych oddał. Następnie w r. 1823, na mocy zawartego układu z Henrykiem księciem Lubomirskim, pomieniony fundusz biblioteczny oparł na majoracie przeorskim i kuratoryą nad częścią literacką temuż księciu i jego potomkom polecił. Książę część zbiorów swoich w księgach, medalach, malowidłach i starożytnościach do tego zakładu przyłączył, i tym sposobem muzeum pod imieniem *Musaei Lubomirsciani* przy nim założył.

Daléj obmyślił Ossoliński wieczny fundusz dla trzech uczonych, którym obowiązki bibliotekarza, kustosza i pisarza mają być powierzone, wreszcie wyznaczył zasiłki pieniężne dla trzech aplikantów, którzyby pilnując szkół i biblioteki, na użytecznych społeczności ludzi usposobić się mogli. Tak wielka przysługa krajowa znalazła téż ogólne ocenienie. Zgromadzeni bowiem na sejmie 1822 r. obywatele Galicyi, postanowili wybić Ossolińskiemu medal, wyobrażający z jednéj strony popiersie założyciela bibliotèki z napisem: *Josephus Maximilianus Comes de Tenczyn Ossoliński, supremus Regni Mareschalcus, Ordinis S. Stephani Commandor*, a na odwrotnéj facyata biblioteki,

Medal pamiątkowy, wybity na cześć hr. Tadeusza Mostowskiego w Paryżu.

Ostateczne przewiezienie biblioteki z Wiednia do Lwowa nastąpiło w r. 1827; zawierała ona wtedy w ogóle 22,798 dzieł, nie licząc rękopisów, rycin, mapp i numizmatów. Liczba ta z czasem znacznie się pomnożyła, zwłaszcza gdy przybyły jéj znakomite ofiary, zasiłki i zapisy gorliwych o dobro nauk obywateli i stanów krajowych. Dziś zakład zostaje pod bezpośrednią opieką tychże stanów i ma na celu: 1) Zbierać i zachować książki, rękopisy, dyplomata, autografy, monety, obrazy, rysunki i inne płody sztuki, minerały i starożytności, szczególniéj polskie. 2) Drukować i wydawać dawne rękopisy i nowsze ważniejsze dzieła w własnéj swojéj drukarni. 3) Szerzyć oświatę za pośrednictwem ciągle otwartéj czytelni. 4) Wspierać zasiłkiem pieniężnym ubogą, naukom poświęcającą się młodzież.

Fundusz wieczysty czyli żelazny zakładu stanowią wyżéj wspomniane dobra i różne kapitały, co wszystko razem wynosi 385,170 zł. reńskich 40 krajcarów w monecie konwencyjnéj, czyli około 1 i pół miliona złp. Dochód roczny, według ostatniego sprawozdania, wynosił 13,342 zł. reńskich 50 krajcarów w monecie konwencyjnéj, czyli przeszło złp. 50,000.

Zastępcą kuratora naukowego jest teraz Maurycy hr. Dzieduszycki, radzca namiestnictwa we Lwowie. Zastępcą kuratora gospodarskiego (małoletniego Antoniego Broniewskiego) jest Roman Broniewski, w Zgórsku, obwodzie tarnowskim zamieszkały.

Obrońcami *posteritatis* są: Józef Piasecki i Feliks Pohorecki, członkowie stanów galicyjskich. Miejsce dyrektora biblioteki opróżnione; zastępuje go kustosz, którym jest znany literat i poeta, August Bielowski, członek towarzystwa naukowego krakowskiego, cesarskiéj biblioteki petersburgskiéj i kommissyi archeologicznéj wileńskiéj. Miejsce zastępcy kustosza nie jest obsadzone. Skryptorami i archiwaryuszami są: Julian Aleksander Kamiński i Jerzy Dunin. Doktór prawa Marcelli Tarnowiecki, adwokat krajowy, piastuje urząd syndyka zakładu. Niższa służba składa się z 3 przysięgłych praktykantów i stypendystów, 2 woźnych, 1 odźwiernego i 2 stróżów.

Biblioteka zawiera obecnie 48,597 dzieł w 80,650 tomach, 1,382 rękopisów, 5,334 rycin i rysunków, 319 mapp i atlasów, 354 obrazów, 178 dyplomów, 344 przedmiotów należących do starożytności lub muzeum, 2,168 autografów, 10,595 monet i medalów, 1,140 sztuk minerałów i około 800 muszli.

Stypendyów dla ubogiéj młodzieży jest teraz 3. Każde wynosi rocznie 200 zł. reńskich w monecie konwencyjnéj (około 800 złp.).

Dotąd duch i pamięć zasługi Ossolińskiego czuwa nad utrzymaniem tego zakładu, który jest i potomnych pokoleń dziedzictwem, a miłość kraju, wdzięczność publiczna i gorliwość urzędników ku pomnożeniu jego i uświetnieniu wszelkich starań dokłada.

BIBLIOTEKA NARODOWA IMIENIA OSSOLINSKICH WE LWOWIE.
(Rysował Piechaczek, rytowano w drzeworytni „Tygodnika.“)

z napisem u góry: *Musis Patriis*, na dole zaś: *Bibliotheca publica, fundata Leopoli A. D. 1817*. Tyle uczyniwszy dla dobra zakładu swego, tyle skarbów zebrawszy, nie miał téj pociechy, aby doczekał ostatecznego usktecznienia swoich zamiarów i dopełnione w skutku przedsięwzięcie oglądał; albowiem na kilka lat przed śmiercią utraciwszy wzrok, zmarł w Wiedniu dnia 17 marca 1826 r. Piérwszym zawiadowcą tego zakładu był Jan Wincenty hr. Bąkowski; piérwszym zaś dyrektorem biblioteki, uczony ks. Franciszek Siarczyński, autor wielu dzieł historycznych.

Trup upickiego posła.

Żyje między ludem naszym podanie, dowodzące w jak świętéj grozie są u niego zbrodnie sprzeciwiające się prawom natury lub obowiązkom względem kraju. Powiada ono że ciała sprawców podobnego grzechu zgnić nie mogą po śmierci, poniewierając się, jako przykład strasznego sądu Bożego. W Krosnem, w kościele oo. franciszkanów, przechowują się trumny Oświecimów, brata i siostry, co zapłonąwszy do siebie (jak niesie tradycya) ogniem nieczystym, chcieli się pobrać, i otrzymali już na to pozwolenie od Ojca św.; ale Bóg téj zgrozy nie dopuścił i zabrał oboje przed ślubem z tego świata. Teraz (mówi Zygmunt Kaczkowski w Murdelionie) „włosy im z głów powyłaziły, powypadały zęby, powygniwały oczy, szaty wszystkie na proch się rozsypały i starły, a ciała tylko mocno pożółkły i nietknięte pozostały. Tarło, wojewoda lubelski, który piérwszy się na śmierć pojedynkował o rzecz prywatną, nie zgnił do dziś dnia, a jego trup, zeschnięty jak deska i brunatny jak spiż, léży w Lupo-

TANIEC.

(Obrazek z natury).

Po sobocie dzień niedzielny,
Jest spoczynkiem nam po pracy
A po modłach w dzień weselny,
Gdy zgromadzą się chłopacy,
Za chłopcami tuż dziewczęta,
Gwarząc sobie to i owo,
W sercu budzi się zachęta,
Gdy o tańcu rzucą słowo.
I wnet jawią się na pewno
Skrzypek tęgi i z basistą.
Choć uderzą zrazu rzewno,
Lecz ponętnie, bo ojczysto!
Wówczas spojrzéć na chłopaka
Lub na dziewczę, jak się śmieją,
Gdy posłyszą krakowiaka,
To aż w siłę orzeźwieją.
I wnet każdy ima dziewkę
W środek izby ją prowadzi,
Daléjże z nią na odsiebkę,
Lub hołubce bokiem sadzi.

(Rysował Kostrzewski, rytował Drążkiewicz.)

I wnet jakoś nam rozświeca
Zakopcone w izbie ściany.

Wtenczas doń się zbliżyć zasie,
Tak mu męzkość bije z skroni,
I wywija, aż mu w pasie
Siedemdziesiąt kółek dzwoni.
Gdy się kilka par dobrało,
Pełnych życia i ochoty,
Jakby niebo burzą grało,
Jakby błyski, jakby grzmoty!
Spojrzéć wówczas na te pary,
Jak wiruje każda w tańcu,
Ogniem spłonie nawet stary
I zapomni o różańcu.
Wnet rozbudzi myśl w swéj głowie:
Takie życie dawniéj było,
Tak bawili się przodkowie,
I tak kiedyś się tańczyło.
Gdzież krakowiak dziś ochoczy?
Gdzież to życie dziś w mazurze?
Łzą się wilżą człeku oczy,
Co zmian w ludzkiéj dziś naturze!...

A. Niwka.

Kwarą mu gorze, aż drżą nogi;
Kiedy grzmotnie podkówkami,
Drzazgi bryzgną wnet z podłogi,
A w hołubcu sypie skrami,
Aż się jasność wkoło wznieca
I uderza w pas kowany,

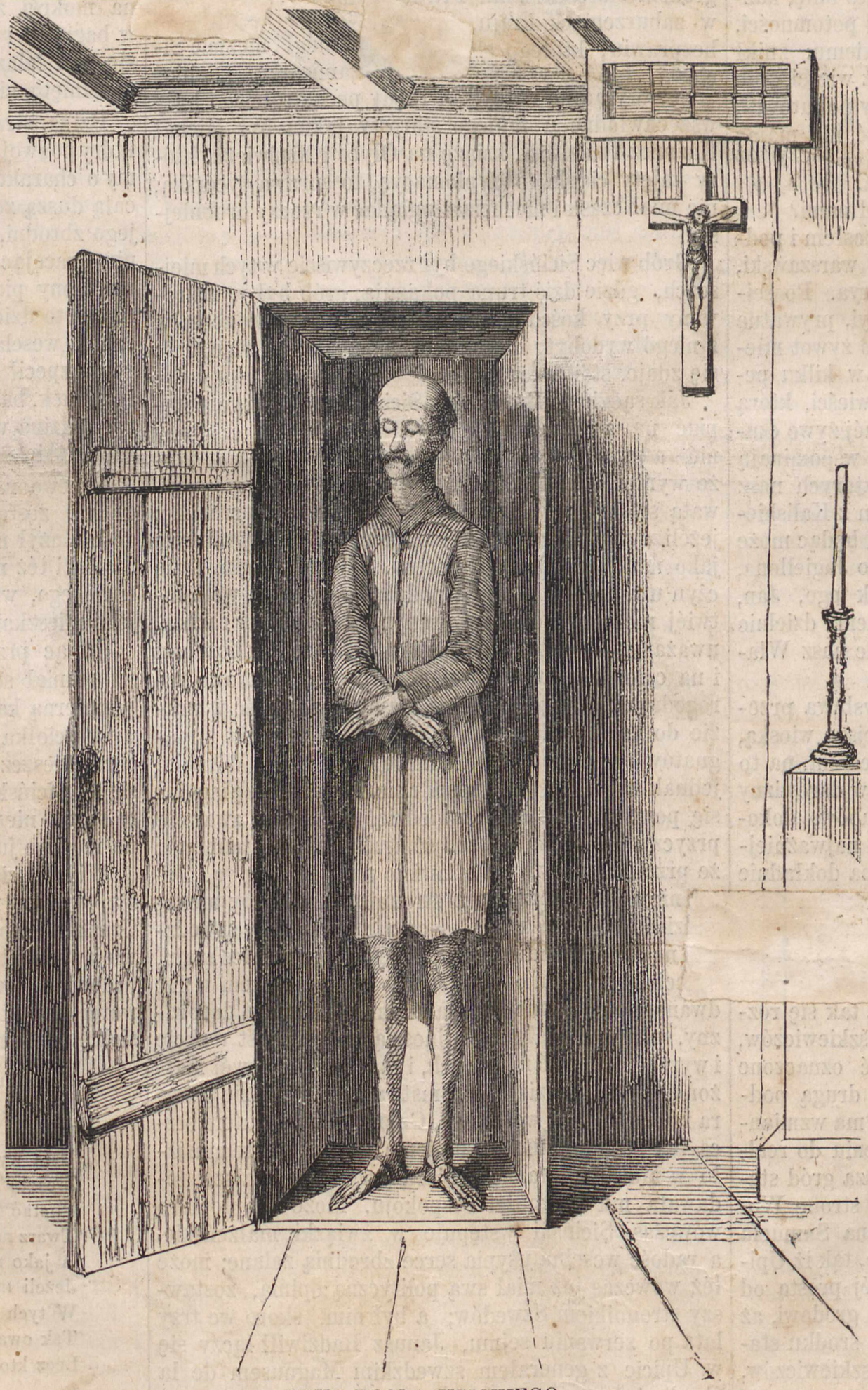

TRUP POSŁA UPICKIEGO.
(Rysował Piechaczek, rytowano w drzeworytni „Tygodnika.“)

wicach. Nakoniec Siciński, który piérwszy rozpustne *veto* zapraktykował na sejmie, ziemię sobie rozorał i wyszedł z grobowca. Jego trup wala się dziś po upickiéj kośnicy i jest pośmiewiskiem żaków, a postrachem podróżnych; żaden człowiek go się ręką nie dotknie, dziki zwierz umiera przy nim z głodu, najzjadliwszy robak go się nie imie.“

O téj to tajemniczéj postaci posła upickiego podajemy czytelnikom naszym wiadomość, nadesłaną nam przez jednego z młodych współpracowników „Tygodnika“, który sprawdziwszy na miejscu fakta historyczne i porównawszy je z podaniem, usnuć umiał z tych danych zajmujące opowiadanie.

Żmujdź święta dokoła, w oddali czernieje wieś Upita, a w niéj drewniany kościołek. Krzyżyk nad nim prosto strzela ku niebu; drobne szybki dźwięczą, wyręczając organy, których dla ubóstwa nie ma w kościołku, a drzwi świątyni otwierają się codziennie, aby przez próg poświęcony przestąpił ciekawy wędrowiec. I ja próg ten przestąpiłem, pragnąc widoku, myśląc o zabawie; lecz gdy dziad kościelny otworzył szafę umieszczoną tuż przy drzwiach, i szepnąwszy z szyderstwem: „Oto pan Siciński, poseł z naszéj Upity, któren dobrze się sprawił, bo kiedyś tam zerwał sejm i zabił nie jednego i nie tysiąc braci,“ — wyciągnął trupa, który wyprostowany i jakby gniewny w całéj postaci stanął przedemną, ciężka myśl zrodziła się w głowie, ogrom przekleństwa stał się dla mnie niepojętym, i kilka chwil niemo patrzyłem w twarz człowieka, któremu wiecznie towarzyszy śmiéch i szyderstwo dziada kościelnego, śmiéch i zgroza ciekawych wędrowców!

Jest to trup człowieka, któren dwa wieki temu pod strzechę Polski dorzucił jednę więcéj niszczącą iskrę: iskra wybuchła płomieniem, kraj gorzał, a sprawca pożaru spokojnie w grobie spoczywał. Nadszedł nareszcie r. 1788, w którym zniesiono głęboko zakorzenione w życiu narodowém „liberum veto,“ chciano usunąć je i złożyć w przybytku pamiątek przeszłości. Wówczas Siciński powstaje z grobu, aby spojrzyć na dzieło swojéj ambicyi; spojrzał, i uląkł się zbrodni, bo wszędzie widział stosy popiołów, do których niegdyś swoją sprawą wielce się przyczynił; chciał znowu skryć się w grobie, lecz ziemia święta już ciała przyjąć nie mogła: siedm razy wyrzucała je z łona swojego, bo ciało upickiego posła, przeklęte na wieki wykrzykiem współsejmujących: „Bodajeś przepadł!“

Król Władysław umiera, pozostawiając kraj zagrożony buntami uciemiężanych Kozaków. Wszędzie krew gasi ogień. Chmielnicki hetmanów bierze w niewolę, znosi wojska, Ruś Czerwoną plondruje. Jan Kaźmirz ciężkie berło bierze do słabéj dłoni, szuka pokrzepiających wspomnień w panowaniu brata, podnosi słabą prawicę, uderza na nieprzyjaciół i zwycięża. Lecz nieprzyjaciel z własnych popiołów znowu się odradza, a król, widząc to, broni się i rządzi: lecz brakło mu już wiary, brakło nadziei.

Chmielnicki poprzysięga zgodę pod Białocerkwią; potém łamie traktaty, spada i znosi Kalinowskiego. Kraj jęczy w niedoli, a szerokie i świeże blizny nie tak łatwo dadzą się zagoić. W tém ogólném nieszczęściu występuje Radziejowski. Obrażony na króla o swoję Annę czy Elżbietę, pragnie zemsty, a nie mogąc pomścić się na jednéj osobie, przysięga zemstę całéj ojczyznie. W tym celu podburza Kozaków, idzie do Turcyi i Szwecyi, staje się gorliwym ich doradzcą i robiąc sobie stronnictwo wewnątrz kraju, obcym a srogim zastępom wskazuje swojego króla i swoich braci.

Naród w żałobie; król wzywa na sejm warszawski, otwarty 25 sierpnia 1652 roku. Na tym sejmie wszyscy mają jedno tylko pragnienie: połączyć się i nieść pomoc krajowi; a przecież znajduje się poseł upicki, Władysław Wiktoryn Siciński, który zagniewany na króla o ekonomią szawelską, żąda powiększenia kwarty ze starostw, a gdy głos jego nie ma uznania, pod pozorem miłości kraju i praw jego, korzysta z wolności sejmowéj, woła „nie pozwalam!“ i tym sposobem zerwawszy sejm, opuszcza go, dumny strzałem w porę wypuszczonym. Grono sejmujących oniemiało, zuchwałość zdziwiła, boleść przykuła do miejsca, zgroza zacisnęła usta. Ani jedna ręka nie użyła szabli, choć każda na niéj spoczęła, nikt nie myślał ścigać Sicińskiego; wszyscy ulegli jego głosowi. Dopiéro po długiém milczeniu wzniósł się krzyk za odchodzącym, krzyk: „Bodajeś przepadł!“

Na to przekleństwo zrodziło się w sercach prorocze przeczucie, wstrzymały się spółczesnych dłonie,

aby wyrok był spełniony na wieki; sejm cały wymówił jednym głosem: „Amen.“

Sejm zerwany, Siciński, bezpieczny od wszelkiéj zemsty, wraca do domu, i napiętnowany przekleństwem, znika z pola dziejów.

„Nie pozwalam!“ wymówione przez pojedynczego posła, staje się nietykalnem prawem, staje się ową opłakaną „źrenicązłotéj wolności,“ wszechwładną bronią dla burzliwych obywateli.

Nie piérwszy to jednak Siciński powstał i poświęcił dobro kraju dla swojéj prywaty, on tylko piérwszy miał tylę potężnéj grozy w swojém pojedynczém żądaniu, że nikt nie śmiał stawić oporu. Podług sądów ludzkich niejeden powinienby towarzyszyć Sicińskiemu w pośmiertnéj jego wędrówce, bo jeśli jako nowator ma on swoję oddzielną barwę, na którą składają się okoliczności dające głosowi posła taką powolność u stanów, jako przestępca, niestety, miał już licznych poprzedników.

Dość zauważyć że sejmy zrywane do r. 1652 nie przedstawiają nigdzie tak wygórowanéj wolności szlacheckiéj, która zmieniając znaczenie prawa ustanowionego za Aleksandra na sejmie radomskim, zdała tron i kraj na łaskę pojedynczego głosu. Wprawdzie do czasów Sicińskiego zrywano sejmy, lecz działo się to zawsze za wolą większéj, a przynajmniéj znacznéj części stanów. Piérwszy więc Siciński, zaryzykowawszy, miał nieszczęście że mu się udało.

Żaden z poprzedników upickiego posła nie zginął bez wieści, każden po sobie zostawił jakieś imię, każden o swéj pokucie dał znać wyrokującéj potomności. Losy tego wszystkiego odmówiły Sicińskiemu: znikł z karty dziejów zupełnie, bez śladu, bez wieści, nie wiadomo kiedy umarł, nie wiadomo czy pokutował, czy spoczął w Bogu. A jednak potomność, nie mając żadnych dowodów na to, czy umarł winnym, czy też się oczyścił, wykonywa wyrok potępienia.

Lecz czy to trup Sicińskiego stoi przed nami?

Że był Władysław Wiktor Siciński posłem i podstarościm upickim, że on zerwał sejm warszawski, to są pewniki, o których wspomina historya. Po sejmie poseł zdaje się nie należéć do historyi, prywatne dokumenta nas nie dochodzą, a cały jego żywot mieści się w kilku zaledwie wskazówkach, w kilku pewniejszych domyślnikach, wreszcie w powieści, którą lud wysnuł ze swéj wyobraźni, wzburzonéj żywo czującém sercem. Niesiecki, a za nim i inni, wspominają o trzech rodach imienia Sicińskich, z których nasz bierze początek od Kacpra herbu Pomian z Kaliskiego; syn tegoż Kacpra osiadł na Żmujdzi, będąc może obdarowany Upitą ze szczodroty którego Jagiellona, za jakie zasługi lub faworem. Potomek tego, Jan, był marszałkiem upickim i pułkownikiem dzielnie gromiącym Szwedy; syn Jana, to właśnie nasz Władysław.

Czy Upita, do któréj przodek Władysława przeniósł się z Kaliskiego, jest właśnie dzisiejszą wioską, w któréj pokazują trupa niespożytego wiekami, na to także nie ma pewności; wszakże z zapisów darowizny Sicińskiego i żony jego Heleny z Sołłohubów, dokonanych w r. 1664, jako z pozostałości najważniejszych do historyi upickiego posła, można dokładnie oznaczyć położenie Upity, którą Siciński w swoim akcie nazywa ojczystą, a która drogą spadku przeszła w ręce Tyszkiewiczów. (1)

W akcie Upita jest położona nad Waszetą; lecz błoto Waszety i strumień tegoż nazwiska tak się rozlewają, że jedna Upita niegdyś Tyszkiewiczów, i druga niegdyś Kimbarów, mogą być oznaczone temże samém położeniem, chociaż pod drugą podpływa rzeczka Upita, o któréj w akcie nie ma wzmianki. Upita Kimbarów, uważana w położeniu do realności ją otaczających, może być wzięta za gród starościński, bo od niéj aż ku Niewiaży, w stronę Wodokt nabytych przez Sicińskiego od pana Samuela Rymwida, leżą wciąż wioski starościńskie, tak iż Upita Kimbarów, biorąc drogę mniéj więcéj prostą od rzeczki Upity w wyższym jéj załamie ku grodowi, aż do Upity Tyszkiewiczów, leży w samym środku starostwa. Począwszy zaś od od Upity Tyszkiewiczów, aż dd rzeki Niewiaży, ciągle spotykamy wioski i folwarki, dziś już znacznie w nazwach zmienione, które Siciński w akcie nazywa już to nabytemi od różnych kredytorów, już téż zdawna do jego rodziny należącemi. Nadto w akcie darowizny Siciński wyłącza dla siebie folwark w polu wojszwilskiém, między szlachtą wojszwilską, z siołem Zubowem i zaściankiem Kiebiszkami, z siołem Memeszem oraz zaściankiem Tronikami, a to wszystko leży pod samą Upitą Tyszkiewiczów, braną dziś za gród starostwa, gdy tymczasem dokoła Upity Kimbarów, mianéj dziś za własność Sicińskiego, nie spotykamy ani jednéj wioski wymienionéj w zapisie darownym.

Z tego należałoby wnioskować, że jeśli odsuniemy wszelkie domysły o zamianie lub zaborze, obie Upity, zniszczone do szczętu, po odrodzeniu się, zmieniły swą godność i dawna prywatna włość, została wziętą za gród, wtenczas gdy prawdziwe miejsce sądów i sejmików powiatowych nie odżyło w wspomnieniu. Zamiana zaś takowa łatwo mogła nastąpić, z powodu bardzo blizkiego siebie położenia dwóch miejsc jednego nazwania. Niemałą tu wskazówką są ślady okopów wznoszących się na bagnie Waszeta, branych za pozostałości po obronnym zamku, o którym dziś świadczyć może chyba nieco kamieni, tu i owdzie w bagnie rzuconych. Że na tym zamku odbywały się sądy, nie ma pewności; że w r. 1565 był uzbrojony staraniem Zygmunta Augusta, to bynajmniéj nie popiera aby Upita Tyszkiewiczów miała być koniecznie grodem starościńskim. Prawdopodobném zaś jest, że w zaburzeniach kraju, a zwłaszcza po spełnioném bezprawiu, którego skutków nie mógł nieznać Siciński, łatwo zamek zagarnął, zamieszkał i objął w swe wyłączne rządy. A rządy podstarościego były wszechwładne u takiego starosty jakim był Michał Kaźmirz Radziwiłł, książę na Ołyce i Nieświeżu, który zajęty ciągle to dyplomacyą, to sprawą rycerską, nie miał czasu i niechciał wglądać w rzeczy drobniejsze.

Grób więc Sicińskiego był rzeczywiście w tych miejscach, gdzie dziś trupa pokazują; grób był wymurowany przy kościele, z którego śladów nie zostało, z niego wydobyto ciało upickiego posła; on więc, o ile się zdaje, stoi przed nami.

Jak sądzić wielkość winy Sicińskiego? czy go potępiać na wiarę przekleństwa sejmowego? czy bronić, a przynajmniéj zmniejszyć winę? trudno także wyrzec. Jeżeli Siciński, wprost powodowany prywatą swoją, zrywa sejm, jest winnym sam przez się; jeżeli zrywa sejm, będąc stronnikiem partyi, jest winnym jako narzędzie obcego interesu. W tym drugim razie czyn uważany jako owoc poddania się obcéj woli, łatwiéj może być odpokutowanym, w obu zaś razach, uważany jako zbrodnia, bez względu na okoliczności i na człowieka który go popełnił, jest jednakowo karogodnym. O jego prywacie mamy wiadomość w urazie do króla o starostwo szawelskie, i tu nikt z magnatów wyraźnie obok Sicińskiego nie staje. W takim jednak wypadku, jeśli poseł upicki uczuł urazę i umiał się pomścić, musiał téż wiedzieć o ile jego swawola przyczyniła się do nieszczęść kraju, musiał pamiętać że przekleństwo narodu zawisło nad jego głową. Jeżeli nie należał do żadnego stronnictwa, mógłby nienawidzieć Jana Kaźmirza, lecz nie sprzyjałby szwedzkim najazdom, a zawsze byłby niespokojnym o los kraju, przeciwko któremu tyle zawinił. A tymczasem w lat dwanaście po sejmie warszawskim, spisuje akt darowizny, spisuje go z całą spokojnością umysłu: jest w akcie i wyrażenie uczuć miłosnych, i szacunku dla swéj małżonki, jest i nadzieja potomstwa, jest wszędzie pokora i poddanie się woli Boga. Człowiek z wyrzutem serca tak pisać nie może; sumienie złe lub dobre musiało w nim być ustalone, wiara prawdy lub fałszu dodawała mu pewności i spokoju. Może téż dopiéro wówczas Siciński wstępuje w związki małżeńskie, a radość weselna usypia serce zbrodnią zalane; może téż wówczas już miał swą polityczną opinią, zostawszy stronnikiem Szwedów; a był nim, skoro we trzy lata po zerwaniu sejmu, Janusz Radziwiłł łączy się w Upicie z generałem szwedzkim Magnusem de la Gardie i doznaje zupełnego powodzenia.

Nikt już podobno dziś wątpliwości tych nie rozjaśni. Imię Sicińskiego na wieki przeklęte, postaci jego złorzeczą coraz nowe pokolenia. My więc wierzymy wraz z ludem, że trup przetrwał dwa wieki i dziś wraz z ludem stajemy, aby z kary odczytać wielkość winy.

Nie do nas należy łączyć się ze specyalnymi badaczami, dla których całość trupa jest ciekawą zagadką. Są którzy w tém uważają wpływ balsamu, są inni, którzy temu stanowczo zaprzeczają (2). My widzim tylko zwłoki, dla których w ziemi nie ma spoczynku, my słyszym wyrok całego ludu, dla którego co raz przeklęte, już nie może nigdy spokoju używać.

Tylko szum odludnéj puszczy, tylko posępna barwa nieba, i krzyże złamane, i groby nagie, mogły towarzyszyć strasznéj powieści, jaką lud o Sicińskim wykołysał.

Kilka pokoleń minęło, pamięć o upickim pośle zdawała się zacierać na kartach historyi; brak dowodów i rysów z jego życia, brak wszelkich wskazówek o jego posejmowych czynnościach i zamiarach względem ojczyzny, zdawał się dopomagać Sicińskiemu i oddalać spełnienie wyroku: „Bodajeś przepadł! Amen.“ Lecz oto za dni naszych, wtenczas gdy już wszystkie ciała pogniły, koście spróchniały, prawnuki przypominają sobie, że czas jest wielki postawić na stosie zgliszczów tego, kto przed wiekami zawinił. Grób się rozpadł, wiatr wymiótł obce prochy i jeden tylko trup przetrwał w całości, tak jak gdyby dopiéro wczoraj był do grobu włożony. Lud spojrzał w tę twarz śpiącą i przypomniał sobie przedwiekowe przekleństwo: wyciąga trupa, rzuca go na cmentarz, poniewiera po drogach, czołga po żydowskich karczmach, ciska na progi złych ludzi, pluje mu w oczy, złorzeczy, a za każdém spojrzeniem jak od czarta się żegna.

Nikt nie oszczędza trupa: pod odkrytém niebem, na mokréj ziemi, w przepełnionych wodą rowach, w bagnach i piaskach, wszędzie on pokutuje. Zdaje się że i żelazo rozpękłoby się i roztarło, a tu kości nietknięte, ciało nie opada!

Dzika, straszna to kara, ale cóż robić z tym ludem, który po swojemu tylko sądzić potrafi? My nie wiele wiemy o charakterze Sicińskiego, lud zaś powiada że to był całą duszą zdrajca, tyran i lubieżnik; my nie znamy jego zbrodni, lud dowodzi że Siciński po jéj spełnieniu wracając do domu, we własnych progach zostaje ugodzony piorunem, co wypadł z pogodnego nieba. A był to dzień święty, bo dzień Narodzenia Bożego; ziemia weseląc się nie mogła ścierpiéć człowieka, któryby szpecił czyste obrzędy. Zaraz téż zapada się jego zamek, bagno nagle utworzone zalewa baszty i ściany, rodzina wymiera, i imię Sicińskiego z woli nieba zaciera się na ziemi.

Drzewo rażone piorunem jest mieszkaniem złego ducha, zostaje ściętém i gnije na rozdrożu, aby nikt go nie użył na krzyż lub na belkę do ojczystéj chaty. Siciński téż nie może spoczywać w poświęconéj ziemi; trup jego, woła lud, niech będzie upiorem, a zamek jego mieszkaniem czarta!

Stojąc przed tak poniewieranym trupem, gdym wspomniał sobie wielkość winy, gdym pojąć chciał bezmierną karę: tyś wiecznie przeklęty!... nagle ściany kościołka zatrzęsły się pod silném natarciem wichru, dreszcz zimny przebiegł mnie całego, i zdawało się że Siciński jeszcze odżyć potrafi, że jeszcze wyrzuci słowa niezgody, które dla nowéj zemsty spłynęły na martwe już usta.

Widzisz ciało żółte, jakby skamieniałe, postać prostą, wysoką, ręce na krzyż złożone, nogi wyciągnięte. Czaszka trupa łysa i żółta, z tyłu ma gęste kępy siwiejących włosów, oczy zamknięte, wypukłe, rzęsy widoczne, twarz nieco wklęsłą, nos lekko garbaty, wargi nad któremi są kępy wąsów, jakoś dumnie od siebie odsadzone, cała twarz nosi ślady urody (3).

Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła,
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci,
Usta wypsute, przez nie ząb gdzieniegdzie świeci.
Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa
Postać ludzką od żywéj niezbyt różną chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać:
Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.

---

(1) Opowiadają wypadek, który właśnie w téj Upicie miał dotknąć familią Tyszkiewiczów. Treścią jego jest że matka, strasząc żartami swojego syna, odziana biało, niby widmo, stanęła za oknem, a wtenczas syn przestraszony, pistoletem wydobytym z pod poduszki mierzy, i matkę na miejscu zabija.

(2) Podobne mumie zdarzyło się nam widzieć podczas wędrówek po kraju w Pożajściu, Siciechowie, Biały, Wąchocku, żadna z nich jednak nie była tak doskonała, z uwagi na wiek i poniewieranie, jak mumia Sicińskiego.

(3) Podróżujący, obdzierając włosy i kawałki ciała, niby na pamiątkę, wyrządzają wielką krzywdę całości trupa.

Za piérwszym rzutem oka coś takiego widać,
Czego żadnemi słowy niepodobna wydać:
Dzikość, szpecąca żywych oblicza zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiécha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha,
Barki na dół pochylił, głowę na pierś zwisnął,
Zda się że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła,
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

(*Mickiewicz.*)

Dotykałem wiekowego trupa i wszędzie ciało się ugina; zdaje się że to człowiek w ciężkim śnie pogrążony stoi przed tobą... Straszny obraz!

Siciński ma ręce na krzyż złożone, głowę schyloną ku piersi, widać więc że był pochowany jako chrześcianin, otoczony posługą kościoła, staraniem rodziny; lecz lud zaprzecza prawdy tym oznakom, on radby ręce rozkrzyżować, głowę podnieść hardo ku samemu niebu!

Niedawno zlitowano się nad ciałem upickiego posła, zdjęto je z drogi, zbudowano dla niego szafę w rogu kościołka, obleczono w szarą koszulę i postawiono w spokoju... (4).

KORRESPONDENCYA
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Ze Lwowa dnia 22 grudnia 1859 r.

W każdym niemal numerze „Tygodnika“ przemawia do nas Warszawa jakiém echem artystycznego życia. Czytamy, a zazdrość i duma porusza nasze małomiejskie serca. Czyż to my nie mamy teatru, który posiada Aszpergerową, Smochowskiego, Nowakowskiego i kilka młodszych ale znamienitych talentów? czyż nie mamy towarzystwa muzycznego, na którego czele stoi błogosławieństwem Chopina i Lipińskiego obdarzony Karol Mikuli? Czyż nie mamy malarzów? Lecz zamilczmy o tém: najlepszych mamy za granicą, bo Lwów nie darzy malarstwa należną nagrodą. Nareszcie i rzeźbiarz nam przybył, wiele obiecujący i świetny swego dziada imieniem: Cypryan Godebski. Dlaczegóż milczymy? Mógłbym różne tego podać przyczyny. Lecz wolę przyjąć cały ciężar winy na siebie. Skoro wam raz obiecałem pisać o naszym lubym kącie, więc lenistwo moje winno milczeniu „Tygodnika“ o nas.

Ale jeszcze inne źródło tego złego. Oto brak nam towarzyskości, brak zjednoczenia wszystkich co umysłowo pracują, brak nam gospody, gdzieby się intelligencya mogła choć widzieć z sobą kiedy niekiedy. Żywioły rozprzęgające zbyt łatwo nas owładają. Lecz dosyć o tém. Niech się kończą skargi, a zacznijmy się chwalić.

Teatr nasz jest w kwiecie. Od czasów dyrekcyi J. N. Kamińskiego nie stał on tak świetnie jak dziś, od chwili objęcia dyrekcyi przez Nowakowskiego i Smochowskiego. Cokolwiekbądź zarzucają, słusznie lub niesłusznie, tym dyrektorom, toć przecie już samo naczelnictwo tak znamienitych artystów rozlewa na całą instytucyą jakieś orzeźwiające światło, wionie jakiś duch pokrzepiający przez cały organizm towarzystwa aktorów, widać postępy. Kształcą się talenta, a nawet tacy, którzy pod innemi dyrekcyami nie mieli wziętości, zyskali pod kierunkiem takich mistrzów.

Oby się tylko przejmowali coraz żywiéj przekonaniem, że należy myśléć o zapewnieniu narodowi dziedziców ich rutyny i doświadczenia artystycznego, bo oczywiście talentu przelać nie mogą na młodszych. Ale talenta są i znajdą się jeszcze, bo nigdzie może nie stanowi tyle praca i kierunek dla przyszłości młodych talentów, co na deskach teatru. Przypomnijmy sobie że B. Dawison rozpoczął swój zawód u nas, obok Kamińskiego, J. Nowakowskiego, Smochowskiego, że grywał razem z Aszpergerową i ś. p. Starzewską (matką swojéj żony), że przyostre (może i niesprawiedliwe często) krytyki lwowskie, jeżeli co dobrego zdziałały, to tylko tyle, iż go zniewoliły do kształcenia się na obcych scenach na tak wielkiego artystę jakim jest dzisiaj. Zapewne, wielka to wina krytyki, jeżeli jéj przypisać należy iż nas Dawisona pozbawiła. Niechże to będzie nauką dla krytyków, że ganić należy, jeżeli już trzeba ganić, z miłością, by nie zrażać artystów; dla dyrektorów i artystów zaś oby ztąd wypłynęła nauka, że pracą i staraniem zwyciężyć można najnienawistniejszych zoilów.

Dzisiejsi dyrektorowie naszego teatru pojmują to, ile uważamy ze składu repertoaru, że wybór sztuk dobrych wpływa najbardziéj na wykształcenie artystów. Tego roku przybyło do repertoaru tutejszego kilka utworów, które nastręczyły artystom i artystkom sposobność do rozwinięcia swoich talentów. Postarano się także o tłumaczenia kilku obcych sztuk, które, choć nie wytrzymałyby może ścisłéj krytyki, noszą na sobie przecież cechę wytworniejszego gustu, niż owe farsy i widowiska, znamionujące tylko zdziecinniałość literatury scenicznéj i publiczności.

Dzięki zręcznemu tłumaczeniu p. H. Nowakowskiego, widzieliśmy już kilkakrotnie na scenie naszéj owę sławną, udramatyzowaną powieść Oktawiusza Feuilleta, pod tytułem: „Miłość ubogiego młodzieńca;“ uświetnia ją gra Aszpergerowéj. „Fałszywych poczciwców“ Dumasa wprowadziło na deski już dawniéj pióro Nestora lwowskich powieścio-pisarzy. Możecie sobie więc wyobrazić, że gdyby nie przedmiot obcy, wydałaby się ta sztuka jak nasza oryginalna. W „Poczwarce“ *(die Grille* pani *Birch-Pfeiffer)* mieliśmy sposobność odkryć niepospolite zdolności młodéj artystki naszéj, p. Kaczkowskiéj.

Nie wspominam o innych talentach naszéj sceny, po części już znanych warszawskim czytelnikom z dawniejszych sprawozdań o teatrze, bo na razie tylko o repertoarze pisać zamierzyłem.

Niedawno pojawiły się dwie nowe sztuki, tłumaczone wcale dobrze: „Fiakr“ przez p. M. Chrzanowskiego i „Trudny wybór“ przez Langiego. Oprócz tłumaczeń, mieliśmy kilka sztuk oryginalnych. Jednakże w téj mierze dziwi nas że teatr tutejszy dał się prześcignąć warszawskim i krakowskiemu. Nie widzieliśmy z najnowszych sztuk polskich nic oprócz „Podróżomanii“: ani „Szlachectwa duszy“, ani „Starych dziejów“, ani „Salomona“ lub „Sędziwoja.“ Zajmowało nas mocno przedstawienie „Przestróg paciotuni“ Aleksandra Szedlera (autora „Semeńka“). Sztuka to niemałéj wartości artystycznéj, a jeżeli dla większéj części publiczności nieprzystępne były jéj piękności, toć wynagradza autora poklask najwykształceńszych warstw publiczności i pochlebne o niéj zdanie naszych koryfeuszów literackich, do których szczupłego grona przybył niedawno W. Pol, osiadłszy u nas podobno na całą zimę.

Nie mogę pominąć przy téj sposobności teatru niemieckiego lwowskiego, który jest naszém *malum necessarium*, tém większém złem, że w jego ręku jest opera. Teatr sam, łatwo się domyśléć, jest jaknajlichszy, od publiczności opuszczony zupełnie; ale wegetuje uporczywie, żywiąc się znaczną subwencyą wypłacaną z funduszów skarbkowskich. By dać wyobrażenie o stanie tego teatru, dość wspomnieć sposób obchodzenia *uroczystości Szyllera*. Trupa niemiecka osądziła znać iż uczcić pamięć poety w sposób *poważny*, byłoby rzeczą nadto powszednią; ale nieszczęście chciało że Szyller żadnéj farsy nie pisał: więc z najpatetyczniejszéj sztuki zrobili farsę. Obrano ku temu Don Karlosa. Odkąd się Don Karlos na deskach wszystkich europejskich teatrów pojawił, nie uśmiała się nigdzie publiczność na jego przedstawieniu tak serdecznie, jak na uroczystym obchodzie jego pamięci w tutejszym teatrze. Stało to się mimo woli aktorów, bo ich już Bóg stworzył tak, iż wszystkie rzeczy poważne przedstawiają śmiesznemi, a prawdziwie śmieszne nudnemi. Filip wyglądał i zachowywał się zupelnie jak herszt rzezimiezków; Don Karlos jak kadet austryacki, który dopiéro oficerem został, a Poza jak fechtmistrz bez posady, który swojéj sztuki rad sprobować na piérwszéj lepszéj kulisie teatralnéj, Lecz uwieńczył całą uroczystość aktor, który oznajmiając przybycie królowéj, miał znać na myśli jaką, może jego sercu drogą, kucharkę, bo zawołał z wielkim patosem zamiast: *die Königinn kommt* (królowa nadchodzi), *die Köchinn kommt* (kucharka przychodzi). Artysta ze zmartwienia nad niepowodzeniem swojéj roli dostał mdłości; lecz publiczność była tak nielitościwa, że podwoiła swoje wybuchy wesołości.

Opera tutejsza, z wyjątkiem jednéj artystki, nastręczyłaby Cześnikiewiczowi wybornego przedmiotu do odczytu o wyjących owadach.

Towarzystwo muzyczne rozpoczęło szereg swoich zimowych wieczorów muzyczno-deklamatorskich pod przewodnictwem Mikulego który jest właściwie duszą tych wieczorów. W części instrumentalnéj główny wzięli udział pp. Mikuli i Starzewski. Deklamacyą wykonał stereotypowy deklamator wieczorów muzycznych. Wykonał ją dobrze i przedmiot obrał powabny, chociaż bardzo znany (ustęp ze „Zgody Senatorskiéj“ W. Pola, o spotkaniu się Leszczyńskiego z Popielem). Niewiem czy to świadczy o wielkiém ubóstwie talentów deklamatorskich, czy o braku zamiłowania do téj sztuki, czy o trudności w wyborze ze strony dyrekcyi towarzystwa, dość że oddawna mamy jednostajną przyjemność słyszenia zawsze tego samego deklamatora.

Józef Boskowicz.

Słowianie tak mało przyjmowali udziału w rozwoju nauk ścisłych, a mianowicie w nauce filozofii, że nigdy na nich nie zwracano uwagi w uczonéj Europie, a jeżeli się który z nich odznaczył wyższym pomysłem lub ważniejszą w tym przedmiocie pracą, to i utonął wśród powszechnéj rzeczypospolitéj uczonych, nie podniósłszy zasługą swą znaczenia własnego kraju. Jedyny może wyjątek od tego stanowi Kopernik.

Warto jednakże aby Słowianie sami upomnieli się o swe prawa, nie dla prostéj przechwałki, ale dla oddania sprawiedliwości cieniom swych przodków i wydarcia ich zapomnieniu. Newton pisał po łacinie, jednakże każdy wié że on był Anglikiem; prawda z drugiéj strony, że któż nie wié o Anglii. Boskowicz, jak wskazuje nazwisko i miejsce urodzenia którém jest Dubrownik (Raguza), toż to najczystszéj krwi Słowianin, a któż na świecie uczonym zapyta się o jego narodowość?

Niedarmo połączyliśmy tu te dwa imiona: Boskowicz, urodzony w roku 1711, a zatém na lat ośmnaście przed śmiercią Newtona, nietylko że jest jemu niemal spółczesnym, ale nadto myśli i pracuje w jego kierunku, pod jego natchnieniem i równie jak tamten w dziejach nauki przybiera postać pół matematyka, pół filozofa. W młodocianym wieku odziany już suknią zakonną, według reguły Lojoli, znakomitym zdolnościom i pracy winien był swe wyniesienie, nawet przed zupełném ukończeniem studyów, na godność professora matematyki i filozofii w kollegium rzymskiém. Tam tedy miał sposobność rozwijać daléj system Newtona, mianowicie w rzeczy tyczącéj optyki i prawa ciążenia powszechnego, czego téż dokonywa i żywém słowem, i pismem. Rozprawa o plamach słonecznych ustaliła jego wziętość jako astronoma, a następnie mnóstwo innych rozeszło się po świecie; jego to więc usilności, jego mianowicie zapałowi, zawdzięczać można najwięcéj upowszechnienie w sferach naukowych genialnéj myśli Newtona, którą on tylko jeden z pomiędzy spółczesnych pojął, ocenił, a nawet daléj poprowadzić umiał, jak dowodzą jego rozprawy o świetle, o siłach żywotnych i najważniejsza: o jedyném prawie sił istniejących w naturze (Theoria philosophiae naturalis, reducta ad unicam legem virium in natura existentium).

Naprowadzeni jednym ustępem dzieła Dugalda Stewart, filozofa szkockiego, na wiadomość o Boskowiczu i jego zasługach położonych na polu filozofii natury, a wielce przez szkołę szkocką cenionych, postaraliśmy się bliżéj z nim samym zapoznać, i nie bez zdziwienia ujrzeliśmy ogrom prac, mniejsza że nie dość uznanych ale mało albo może wcale rodzinie słowiańskiej nie znajomych; dotąd bowiem nie zdarzyło się nam napotkać o nim wzmianki w żadném naszém lnb pobratymczém piśmie. Za to znajduje się o nim obszerny traktat naukowy astronoma francuzkiego Lalande, zamieszczony w „Journal des Savants.“

Boskowicz, idąc śladem Newtona, nie został przecież ani jego niewolnikiem, ani cieniem: nie zaświecił wprawdzie pomysłem genialnym, na wzór swego mistrza, ale znakomicie poparł go obserwacyą własną i rachunkiem. Jako filozof odnacza się on metodą dosyć oryginalną, utrzymując że jedyném prawem które tłumaczy wszelkie zjawiska natury i wszelkie własności ciał, jest prawo attrakcyi i repulsyi. Jego teorya substancyi materyalnéj według powyższego prawa, stoi bardzo blizko idealizmu, gdyż tym sposobem materya jest tylko składem punktów bez żadnéj rozciągłości i niepodzielnych a rozdzielonych przestrzenią, która może się zwiększać lub zmniejszać prawem wzajemnego przyciągania się i odpychania, i to jest rzeczywi-

(4) W szafie umieścił trupa ś. p. ksiądz Pergolewski, miejscowy proboszcz; burnus okrywający ciało nadesłał p. Rosen aż z Odessy.

sta własność ciała. Inne, jakoto: miąższość i nieprzenikliwość, przestają być własnościami materyi, która powinna być uważana jedynie jako siła zdolna stawić opór naciskowi z zewnątrz pochodzącemu; a więc podług téj teoryi istnienie materyi, w znaczeniu powszechném, podane jest w wątpliwość. Metodę tę nazwaliśmy oryginalną, lubo zakrawa ona nieco na system monad, a przytém zdaje się miéć źródło w pomyśle Newtona, który za przyczynę attrakcyi, tłumaczącéj jego system planetowy, podaje jakiś płyn rozlany w przestrzeni pod nazwą *eteru*, który jest niewidzialny, niedotykalny, nieskończenie rozprężliwy, przenika wszystkie ciała i kryje się pomiędzy ich atomami w rozmaitych stopniach zgęszczenia, tém mniejszych, im ciała zawierają więcéj materyi ważkiéj (*). Jak ten eter Newtona, tąk i powyższe prawo Boskowicza, są to hypotezy, więcéj dowcipne jak uzasadnione, jednakże pośrednio tłumaczą wiele nowych i niezbitych prawd.

Trudno abyśmy w piśmie naszém podejmowali wykład nauki tego filozofa-matematyka, chcieliśmy tylko tą pobieżną wzmianką zwrócić na niego uwagę. Byłoby to raczéj obowiązkiem naszych południowych braci z nad Adryatyku, aby rozświecili stanowisko naukowe swojego ziomka, który tak znakomite zasługi położył w dziedzinie najwyższych nauk, że go ich koryfeusze z uwielbieniem wspominają to w Edymburgu, to w Paryżu. Warto aby oni upomnieli się o swą własność, wprzód nim go sąsiedzi prawem przedawnienia pociągną do jakiéj Walhalli, z tytułu że się rodził w Raguzie.

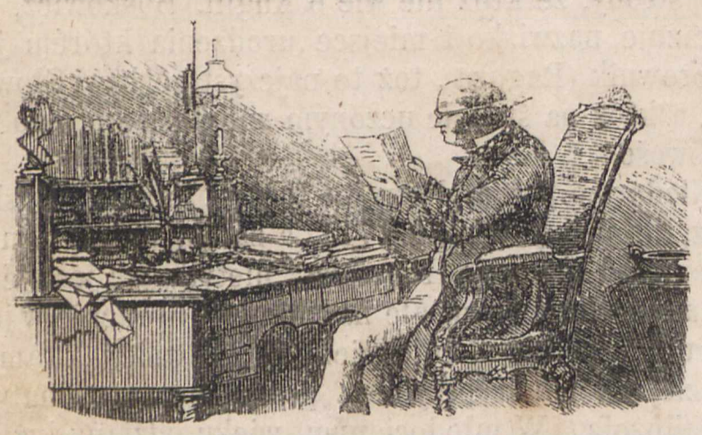

Panu F. N. w Warszawie. Listu do przyjacieła drukować nie możemy.

Panu Szymonowi G. w Kielcach. Za ofiarowane nam współpracownictwo uprzejmie dziękujemy. Wybór przedmiotów zostawiamy Pańskiemu uznaniu, nadmieniając tylko, iż rzeczom mniéj znanym a zajmującym pod względem pamiątkowym, dajemy piérwszeństwo przed innemi.

Panu F. B. w Warszawie. Artysta o którym pan mówisz może znaleźć zajęcie przy „Tygodniku Illustrowanym," chociaż załączone portrety niezupełnie odpowiadają warunkom techniki drzeworytniczéj. Prosimy go o zgłoszenie się osobiste do redakcyi.

Panu Ludwikowi Brzozowskiemu w Warszawie. Pragnąc w ubiegłym roku ukończyć powiastkę Pańską p. t. „Astry", zmuszeni byliśmy, dla braku miejsca, usunąć z niéj kilkanaście wiérszy. O czém zawiadamiając Pana uprzejmie, jesteśmy gotowi, na Jego żądanie, przytoczyć opuszczone ustępy w najbliższym numerze naszego pisma.

Panu A. B. z Cmentarza. Żałujemy szczerze iż nadesłanego rebusa drukować nie możemy.

Pani A. E. w Włocławku. Za nadesłany łogogryf najuprzejmiéj dziękujemy. Będziemy się starali zamieścić go późniéj w „Tygodniku."

Panu A. S. w Żytniowie. Nadesłane zadanie konikowe wkrótce ukaże się w szpaltach naszego pisma.

Pani Wł. Ś. w Sokołowie. Za objawione w liście Pani współczucie dla „Tygodnika" całém sercem dziękujemy Rzuconą myśl uważamy za pożyteczną i szczęśliwą; radzibyśmy tylko wiedzieć czy jest kto taki, coby zająć się chciał układem scen pojedynczych, czy téż polecić to mamy miejscowym naszym rysownikom.

Panu Włodzimirzowi G. w Kiełczewie. Nie mając pod ręką piérwszego listu Pańskiego, nie mogliśmy przekonać się, czy posunięcia w nim były te same. Chętnie jednak przyznajemy, że oba ostatnio nadesłane rozwiązania Pańskie sprowadzają istotnie mat nieunikniony; tylko że podany przez nas sposób, jako zręczniéj skombinowany, bardziéj niezawodnie zadowoli każdego dobrego gracza szachowego.

Panu O. S. we Lwowie. O wartości ofiarowanéj nam pracy przesądzać nie możemy przed jéj nadesłaniem; o ile jednak wnosimy z tytułu, nie zdaje się ona być odpowiednią dla naszego „Tygodnika".

Panu Wł z Ł. w Warszawie. Prosimy Pana o zgłoszenie się osobiste do redakcyi „Tygodnika", każdodziennie między godziną 6 i 7 wieczorem.

(*) Znajome prawo Newtona, że atomy materyi przyciągają się w stosunku prostym mass i w stosunku odwrotnym kwadratów z odległości.

Kronika zagraniczna.

Wszyscy znakomici, wyższym talentem obdarzeni pisarze, to mają do siebie, że chociaż utwory ich wzięły początek w duchu narodu którego są dziećmi przecież i przez obcych łatwo pojętemi być mogą, gdyż utwory ich mają ten wspólny, ludzki że się tak wyrazim charakter, którego żadne miejscowe wpływy zatrzeć nie zdołają.

Do pisarzy tego rodzaju należy Washington Irwing, zmarły świéżo w Ameryce, którego imię zarówno jest popularném w jego ojczyznie, jak wszędzie gdzie ludzie czytają i myślą, i dlatego téż jego pamięci kilka słów poświęcić postanowiliśmy.

Przeznaczony na prawnika, Washington Irwing porzucił kratki sądowe dla literatury. Rozpoczął swój zawód literacki w 1802 r. pod pseudonimem Jonathana Oldstyle, w dzienniku newyorkskim „Morning Chronicle", którego właścicielem był jeden z jego braci. Niedługo potém zapadłszy na zdrowiu, zmuszony był udać się do Włoch. Ztamtąd pojechał do Francyi i Anglii. Powrócił do Stanów Zjednoczonych w r. 1806 i wspólnie z p. Paulding rozpoczął wydawać czasopismo literackie „Salmigondis", w którém umieszczał większą część swoich utworów literackich. Wkrótce potém ogłosił pod pseudonimem, nie piérwszym już i nie ostatnim, Diedrich'a Knickerbocker „Historyą New-Jorku", utwór satyryczny, pełen dowcipu i miejscowéj barwy, który imię jego w dziejach literatury amerykańskiej nieśmiertelném uczyni.

W 1820 r. ogłosił owoc długich podróży po Europie „Sketch-Book," w 1822 „Bracebridge-Hall", w r. 1824 „Opowiadanie podróżnika" (Tales of a traveller); w następnym roku romans obyczajowy, wzięty z życia new-yorkskiego, p.t. „Monej Digers". Wezwany do Hiszpanii przez p. Everett, ministra amerykańskiego przy dworze madryckim, zebrał tam materyały do „Historyi Krzysztofa Kolumba."

Powróciwszy do New-Yorku w 1832 r., po siedmnastu latach przepędzonych w Europie, zwidził For-West, a podróż swoję opowiedział w właściwy sobie sposób, malując żywo i zajmująco obyczaje Indyan i kraj przez nich zamieszkiwany. Utwory jego należące do téj epoki są: „Astoria," Rocky Mountains," następnie dalszy ciąg „Sketch-Book, Legendy o podbojach Hiszpanii, i wiele innych dzieł, których wykształceni czytelnicy wszystkich krajów nigdy wysoko cenić nie przestaną.

W 1841 r. Washington Irwing mianowany został ministrem Stanów Zjednoczonych w Hiszpanii i przez lat cztéry zajmował to stanowisko dyplomatyczne.

Od wielu lat poświęcał się napisaniu „Życia Washingtona". Mamy nadzieję że śmierć nie przeszkodziła znakomitemu pisarzowi ukończyć to dzieło, którego cztéry piérwsze tomy okazały się już na widok publiczny.

Washington Irwing zamieszkiwał w okolicach New-Yorku prześliczną ustroń wiejską, gdzie zakończył życie czczony, kochany i otoczony pieczołowitemi staraniami swoich synowic, któremi się opiekował i których przybranym był ojcem.

Washington Irwing urodził się w New-Yorku w r. 1785; umierając zatém miał lat siedmdziesiąt cztéry.

Ponieważ śmierć Washingtona Irwinga zaprowadziła nas do Ameryki, pozostaniem jeszcze czas jakiś na téj ziemi, ażeby opowiedzieć czytelnikom naszym ciekawe szczegóły, które znajdujemy w jedném z zagranicznych czasopism, o sposobach wymyślonych przez wydawców dzienników, dla otrzymania jaknajspieszniéj wiadomości ze stałego lądu, przed przybyciem parostatku płynącego z Europy.

U wnijścia do zatoki New-Yorku znajduje się Sandy-Hook. Jest to płaszczyzna nizka i piaszczysta, sześć mil długa, a pół mili szeroka. Na téj płaszczyznie dzienniki stowarzyszone założyły stacyą telegraficzną. Dzięki elektryczności, wiadomości dochodzą tą drogą do New-Yorku na kilka godzin przed przybyciem przywożących je parostatków. Lecz to nie wszystko jeszcze: wydawcy amerykańscy nie poprzestali na wymienionych wyżéj środkach, ażeby jaknajspieszniéj uwiadamiać publiczność o tém co się dzieje w starym świecie. Wyczerpawszy naukę, parę, czynność i poświęcenie ludzi, zażądali pomocy zwierząt.

Urzędnik stacyi telegraficznéj w Sandy-Hook ma pod swojemi rozkazami cały pułk skrzydlatych posłańców: są to gołębie doskonale ułożone, zamieszkujące wyższe piętro nędznego drewnianego domu, służącego za rezydencyą naczelnika telegrafu.

W Sandy-Hook, skoro dzień jest pogodny, w znacznéj odległości ujrzyć można za pomocą teleskopu steamery płynące do New-Yorku. Skoro który z nich zostanie dostrzeżonym, majtkowie stowarzyszenia, będący zawsze w pogotowiu, udają się na spotkanie statku wiozącego spodziewane wiadomości.

W Liverpoolu dzienniki stowarzyszone mają agenta, który na każdy statek odpływający do Stanów Zjednoczonych oddaje puszkę blaszaną, dziewięć cali długą, a trzy szeroką, wewnątrz któréj znajdują się cztéry kartki cieniutkiego papiéru, zawierające ostatnie depesze telegraficzne z Londynu. Skoro łódź należąca do prassy new-yorkskiéj zbliży się do steameru, rzucają z niego puszkę w morze, która będąc cięższą u spodu niż u góry, płynie prostopadle. Majtkowie znajdujący się na łodzi chwytają wnet puszkę, a znalezione w niéj kartki papieru przywiązują do nóg gołębi, niosących szybko wiadomości przywiezione z Europy do Sandy-Hook, zkąd telegrafem kommunikują je do New-Yorku.

Tak to gruby materyalizm naszego wieku wszystko na korzyść swoję obracać umié. Dawniéj gołębie były tylko posłańcami kochanków, dziś posługują przemysłowi i polityce; dawniéj skrzydlaty goniec przybyciem swojém ścierał łzy jakiéj tkliwéj i rozmarzonéj kasztelanki, dziś wydobywa może z nędzy całe rodziny, obsypuje złotem rozum i pracę, lub zwiastuje o odrodzeniu się całego ludu.

Nie nam przecież wdawać się w kwestye społeczne lub dyssertacye uczone; lecz kiedy mowa o przemyśle, o handlu, o Ameryce, czyż myśl pomimowoli nie przywodzi na pamięć staréj metropolii europejskiéj? Na ten raz przecież, mówiąc o Anglii, pozostaniemy, jakby dla kontrastu, w szrankach artyzmu.

W chwili kiedy sławny Garibaldi, chętnie albo niechętnie, opuszcza scenę polityczną, teatr londyński Sadlers-Wells postawił go na deskach swoich, w dramie oryginalnéj bez wątpienia, ale niezbyt szczęśliwego pomysłu. Drama ta nie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby nie była utworem Tomasza Taylor, pisarza obdarzonego rzeczywistym talentem. Co do nas, wolelibyśmy żeby p. Taylor, jeżeli zamiarem jego było dla Włoch obudzić sympatyą, pamiętając na ową sławną przestrogę Szyllera, że co ma odżyć w pieśni, zginąć powinno w rzeczywistości, wybrał do swego dramatu którego z dawnych bohaterów włoskich.

Sztuka Tomasza Taylor jest szczegółową biografią Garibaldego, ułożoną w romantyczną dramę. W piérwszym akcie widzimy go w Uragay, z ukochaną żoną Anitą. Garibaldi wystawiony jest na zdradę nowego Yagi, kapitana Mancini, który chciał zakłócić jego szczęście małżeńskie i ściga go aż do bitwy pod Stelvio, gdzie szpada dowódzcy włoskiego wymierza mu sprawiedliwość. W drugim akcie jesteśmy obecni przy oblężeniu Rzymu; przy świetle księżyca Garibaldi okrywa się chwałą, chociaż wieczne miasto dostaje się w ręce Francuzów. W trzecim akcie Garibaldi zmuszony jest uciekać przed Austryakami, wystawiając się śmiało w łodzi rybackiéj na ogień ich patrolów, a potém traci swoję bohaterską towarzyszkę w pośród jodeł Magna-Vacca. Przybywa nakoniec czwarty akt, aby pomścić Garibaldego, gdyż przenosi nas do wypadków 1859 r., a Włochy wydają okrzyki tryumfu.... Nieszczęściem zawieszenie broni ogłoszoném zostaje w Villafranca, i zasłona spada, pozostawiając przyszłości rozwiązanie losów bohatera.

Mówiąc o teatrze, niepodobna nam pominąć nowéj sztuki Aleksandra Dumas syna, niedawno wystawionéj w Paryżu, choćby dlatego, że tyle narobiła hałasu. Cokolwiekbądź powiedzieć można o pracach dramatycznych i wątpliwéj moralności utworów syna autora Muszkieterów, niepodobna zaprzeczyć że jest on mistrzem w swoim rodzaju. Kraina w któréj włada jest mglistą, pełną kałuży potrzebujących osuszenia, jarów ukrywających dzikie zwierzęta i jadowite płazy, dróg nigdy nie naprawianych; lecz koniec końcem w krainie téj jest on królem, a władza królewska ma urok któremu oprzéć się niepodobna. Dziś nikt mu już nie zdoła zaprzeczyć dramatycznéj zręczności, tyle jéj dał dowodów w nowéj swojéj komedyi „Ojciec marnotrawny" (Un père prodigue) w któréj okazał że się tak wyrazim nieporównane zuchwalstwo. Sztuka ta składa się ze szczegółów tak gorszących, sytuacyj tak drażliwych, z tylu scen wstręt obudzających, że treść jéj wystarczyłaby na dwadzieścia komedyj, z których każdą wygwizdałaby publiczność. Skandale jak drogoskazy rozstawione są wzdłuż całéj sztuki, wyziewy nieczyste unoszą się nad nią, a z niemi zlewają się wspomnienia uosobione w bohaterach prostytucyi paryzkiéj.

(Ob. str 124.)

DONIESIENIA.

DYREKTOR

Drogi żelaznéj Warszawsko Wiedeńskiéj,

Zawiadamia, iż od dnia 1 stycznia 1860 r., osoby do Frankfurtu nad Odrą, Berlina, Drezna i Lipska, Drog :Żelazną Warszawsko-Wiedeńską udające się, mogą nabywać bilety tylko do Stacji Katowice, na Drodze Żelaznéj Górno - Szlązkiéj położonéj. Dwugodzinny przeciąg czasu, przez który pociągi na pomienionéj stacji zatrzymują się, dostatecznym jest do wykupienia tamże biletów dla osób w dalszą podróż udających się, jak niemniéj do wyexpedjowania pakunków do miejsc na biletach osobowych oznaczonych.— Osoby zaś w odwrotnym kierunku podróżujące, mogą nabywać bilety z miejsc wyż pomienionych do stacji Sosnowice, jako też bagaże swoje do tejże stacji wprost expedjować. A że na stacji Sosnowice pociągi również dwie godziny zatrzymują się, podróżni przeto mieć będą możność wykupienia tamże biletów na dalszą podróż do Warszawy i stacji pośrednich. - Za Dyrektora, *Wejchert.*

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Gustawa Sennewalda

przy ulicy Miodowéj Nr. 2 (481),

wyszła: **Historja literatury polskiéj** w zarysach K. Wł. Wojcickiego. wydanie drugie poprawne i powiększone. Pierwsza edycja w roku 1846 ogłoszona, chlubnego doznała przyjęcia, jako dzieło obejmujące całość obrazu literatury ojczystéj, od najdawniejszych aż do naszych czasów, a łącząc wykład jéj dziejów z dobremi przykładami, w użyciu praktycznem było wielce pożądanem. Ta rzeczywista wartość upowszechniła pierwsze wydanie nietylko w kółkach rodzinnych, ale posłużyła do wykładu po wielu zakładach naukowych, nietylko w Królestwie, ale i w Galicyi austryjackiéj. Ubiega lat 13 od zjawienia się téj pracy p. K. Wł. Wójcickiego; w obrazie literatury naszéj, głównie co do bieżącego piśmiennictwa niemało zmian zaszło ; wielu pracowników z tego pola zeszło, wielu z nowszych a nieznanych wówczas przybyło; niejedna gałęź literatury hojnie uposażoną została, inne nie wydały pożądanego owocu. Autor musiał uwzględnić te objawy, i to wydanie stosownie do nich przejrzéć, poprawić i uzupełnić. Trzy tomy które obecnie wyszły, obejmują literaturę polską od najdawniejszych czasów do Kazimierza Brodzińskiego i Mickiewicza. Tom IV obejmujący okres ostatni, wyjdzie w ciągu pierwszego półrocza r 1860. Pomimo powiększonéj objętości każdego tomu, wydawca zachował cenę pierwszego wydania, za cztery tomy obejmujące przeszło 136 arkuszy druku ścisłego, złp. 55.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,

w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła:

Elementarzyk polski, z obrazkami malowanemi; Toruń 1859. Cena kop. 45.— Kalendarzyk kieszonkowy gospodarski na rok 1860, mający dni 366, 1rka, Warszawa kop. 60.— Mała gosposia przez Teofila Nowosielskiego, z 12tu obrazkami kop. 50.— Stanisława Orzechowskiego Ziemianin albo Rozmowa Ojca z synem o sprawie Polski r. 1565, i Policja Królestwa Polskiego nakształt Arystotelesowych polityk wypisana r. 1566, z rękopisu, wydana. 16ka; Kraków 1859 kop. 75.— Trzysta portretów zasłużonych w narodzie Polaków i Polek, z dodaniem krótkich wspomnień ich żywotów zebranych i napisanych przez Wojciecha Szymanowskiego, z 60ciu tablicami rycin, 8ka; Warszawa 1860, Rs. 1 kop. 80.— Dykcyonarz zawierający wyrazy i wyrażenia z obcych języków polskiemu przyswojone, a mianowicie: w umiejętnościach, sztukach, tudzież w stylu prawniczym, administracyjnym, gazeciarskim, naukowo-filozoficznym, literackim i w potocznéj mowie używane, do użytku powszechnego ułożony staraniem i pracą Michała Amszejewicza, 8ka, Warszawa, 1859, rs. 3.—Farmakologja wedle układu Dra Oesterlena do podręcznego użytku opracowana przez Henryka Łuczkiewicza Dra med. etc., 16ka, Warszawa 1860, rs. 1 kop. 50.— Gospodarstwo narodowe stosowane, czyli Zasady nauki Gospodarstwa narodowego zastosowane do praktyki—Znajomość kraju, rolnictwo, przez Fryderyka hr. Skarbka, Rsr. 1 kop. 80.— J. I. Kraszewski, Metamorfozy 3 tomy, Rs. 3. J. Korzeniowski, Majątek albo Imie kop. 75.— J. Korzeniowski, Ofiary i Sumienie, Rsr. 1 kop. 35.—Jan Chęciński, Poemata mniejsze i strofy ulotne kop. 75.— M Grabowski, Starosta Zakrzewski, kop 75. - Nowosielski, Stary Biuralista, kop. 50 —Sowiński, Widziadła kop. 15 — Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i w ościennych prowincjach, Rs. 1 kop. 20.— Pfeiffer Ida, Dwie podróże na około świata. przełożył Juljusz Schedling, Rsr. 1. — *Almanach de Gotha, Annuaire diplomatique et statistique pour l'année* 1860. Cena Rs. 1 kop. 65. — Dzierżawca początkujący jako zupełne według postępu rolnictwa opracowanie dzierżawcy początkującego przez pana Szne, wydany przez Ernesta Sztekarta i Adolfa Sztekarta, 2 części, 8ka, Toruń 1860, rs. 2 kop. 40.— Galerya obrazów szlacheckich, opowiadania Cześnikiewicza, 3 tomy 16ka 1860 Rsr. 3 kop. 60. — Pamiętnik Teodora Jewłaczewskiego Nowogrodzkiego podsędka 1546 — 1604, wydał T. xiążę L., 8ka kop. 45.— Ofiary, komedja we 3ch aktach przepolszczona z angielskiéj przez Aleksandra Przeździeckiego, 12ka, Poznań 1859 Rsr. 1.— Poezje Włodzimierza Wolskiego 2 tomy; Wilno 1859 Rs. 2.— Gorzelnictwo u nas w stosunku do innych przemysłów przez B. Aleksandrowicza 8ka. Cena kop. 37 i pół. – Historja kommunizmu albo obalenie utopii socjalistów za pomocą historji, przez Alfreda Sudre, przekład z 5go francuzkiego wydania J. Iwickiego, 12ka rs. 1 kop. 80. Irlandja, jéj początek, historja i obecne położenie z przedmową Balińskiego, 8ka, rs. 1 kop 80.— Konfederacja Gołąbska, obraz historyczny skreślony za czasów Stanisława-Augusta przez niewiadomego pisarza, 8ka, rs. 1 kop. 50.— Poradnik chrześcijańskiego miłosierdzia. przez xiędza Izydora Mullois, przełożył Ludwik Miłkowski, 8ka kop. 75, toż samo na papierze welinowym rs. 1.— W dalszym ciągu: Natansona wyboru przekładów z wzorowych pisarzów zagranicznych Tom 30 i 31 zawierające: Fryderyki Bremer Ognisko domowe powieść przełożona na język polski z Szwedzkiego w 2ch tomach 16ka, rs. 1 kop. 50.— Księgarnia ta zaleca się doborem rozmaitych książek dla młodzieży, w językach francuzkim, angielskim. polskim i niemieckim. Znaczny zapas znajduje się tamże obrazków ŚŚych, książek do nabożeństwa atlasów i globów po cenach umiarkowanych.

KSIĘGARNIA

G. Gebethnera i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie - Przedmieście Ner 17,

otrzymała następujące nowości:

Wójcicki K. Wład., Historja literatury polskiéj w zarysach wyd. 2gie 4 t.; Warszawa 1859, rs. 8 kop. 25.— Waga Antoni, Historja naturalna, Warszawa 1860, Tom I cz. 1sza z tablicami kolorowanemi za tom I rs. 5 kop. 40, z tablicami czarn. rs. 3 kop. 60.– Żmichowska, Wykład nauk cz. 1. 2 Jeografia; Warszawa 1858, rs. 5.— Mill John Stuart. Zasady ekonomii politycznéj tłum. z ang., tom I, Petersburg 1859, rs. 1 kop. 20.— Czarkowski Piotr, Dzieje w Polsce; Warszawa. 1860, rs. 1.— Serwatowski Walerjan. Nauki parafialne dogmatyczne dla ludu wiejskiego; Warszawa 1860, rs. 1 kop. 50.—Grabowski Michał, Pan Starosta Zakrzewski; Kijów 1860, kop. 75.— Korzeniowski J., Majątek albo Imie, komedja; Warszawa 1860, kop. 75.—Jeż Teod. Handzia Zahornicka, powieść; Wilno 1860, rs. 1 kop. 40. Bremer Frydery., Ognisko domowe, powieść w 2ch tomach, Warszawa 1860, rs. 1 kop. 50.— Moraczewska, Dwóch rodzonych braci, powieść dwutomowa. Poznań 1859, rs. 2.— Pamiętnik dla gospodarzy wiejskich, Warszawa 1860. kop. 50.

NAKŁADEM KSIĘGARNI SZKÓŁ PUBLICZNYCH

J. Glücksberga

wyszły z druku:

MODLITWY ŚWIĘTYCH

czyli

GŁOS KOŚCIOŁA TRYUMFUJĄCEGO

książka do nabożeństwa dla wiernych katolików, zawierająca modlitwy świętych, z dodatkiem Litanji i Pieśni nabożnych, zebrane i przełożone na język polski przez tłumacza teologji dogmatycznéj i moralnéj X. Guillois i innych dzieł religijnych. Cena: exemplarz zwyczajny rs. 1, exemplarz na papierze welinowym z 12tu rycinami, na stali rs. 1 kop. 50. Z powodu podjętych starań, dla uczynienia téj książki kompletnym zbiorem modlitw na dni powszednie i świąteczne, koszta jéj wydawnictwa znacznie zwiększone zostały; cena przeto prenumeracyjna trwała w Królestwie tylko do dnia 1 listopada, a dla osób w Cesarstwie zamieszkałych do dnia 15 listopada r. b., poczem cena exemplarza zwyczajnego podwyższoną została na rs. 1 kop. 35, exemplarza na papierze welinowym na rs. 2. Jest do nabycia w xięgarni szkół publicznych J. Glücksberga, ulica Miodowa Nr. 482. dom Wgo Zejdlera na 1ém piętrze; w xięgarni Michała Glücksberga, ulica Krakowskie-Przedmieście, dom Wgo Grodzickiego Nr. 411 (9); oraz we wszystkich księgarniach w Królestwie i Cesarstwie.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

KAROLA BERNSTEJNA,

przy ulicy Miodowéj Nr. 6

wprost kościoła OO. Kapucynów,

wyszły dwie nowości:

1) Żmorski Roman; Wieża siedmiu wodzów pieśń z podania z rysunkami W. Gersona rytowanemi na drzewie w Zakładzie drzeworytniczym Stifiego. Cena kop. 30.— 2) Bernstein; Biblioteka popularna nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału Tom IX zawiera: O życiu roślin, zwierząt i ludzi część II, kop. sr. 60.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

L. IDZIKOWSKIEGO

w Kijowie

wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach tak w Warszawie jak na prowincji następujące dzieła: Pan Starosta Zakrzewski wydał Michał Grabowski, cena kop. 75.— Stary Biuralista przez Ant. Nowosielskiego, cena kop. 50.—Widziadła przez Leonarda Sowińskiego; cena kop. 15. Skład główny w Warszawie w księgarni H. Natansoną przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 17 naprzeciw Karmelitów, w domu JW. hrabiego Stanisława Potockiego

---

Z drukarni i nakładem wydawcy Tygodnika illustrowanego wyszły

NAUKI PARAFIALNE dogmatyczne dla ludu wiejskiego

przez X. Walerjana Serwatowskiego profesora teologii napisane. Dzieło to dla użytku XX. proboszczów i plebanów przeznaczone od autora— wydawca odbił drukiem czytelnym i tak ułożył, aby w miarę potrzeby uczenia się na pamięć lub studjowania, każda z nauk mogła być oddzieloną od innych, to jest od poprzedzającéj i następującéj po niéj nauki. Sprzedaje się u Wydawcy, oraz w księgarniach Warszawskich i na prowincji po rs. 1 kop. 50.

Wyszedł z druku pierwszy numer

MAGAZYNU MÓD

i nowości dotyczących gospodarstwa domowego

pisma tygodniowego pod nową redakcyą, który zawiera w sobie:

Do Polek— Gwiazdka — Korrespondencja z Paryża—opis strojów damskich — nowości zagraniczne—opis wzorów do haftu—opis krojów bielizny męzkiéj—opis ryciny—zawiadomienie o przyjmowaniu poleceń do załatwiania sprawunków wszelkiego rodzaju i odpowiedzi na odebrane korrespondencje. Do numeru tego dołączoną została rycina paryzka z modami i wzory haftu i krojów z dwoma rebusami.

Wyszła na widok publiczny w *Zakładzie litograficznym A. Pecq ulica Miodowa Nr.* 482

Mappa kolei żelaznych w Europie, według najnowszych danych skreślona

przez A. *Kozłowskiego. Cena exemplarza w formacie książeczki oprawnego* złp. 2 (kop. 30).—Wyszła także na widok publiczny *Ballada* „**S E N**“ śpiew z towarzyszeniem fortepianu, przez *Romualda Zientarskiego.* Cena złp. 4 (kop. 60). PP. Księgarzom i handlom muzycznym odstępuje się znaczny *rabat.*

Tamże jest do nabycia

KALENDARZYK KIESZONKOWY,

drukowany na białym papierze i zważając na małość formatu nadzwyczaj czytelnie drukowany, cena egzemplarza tylko kopiejek 3.

NB. Każdy kupujący kalendarz ścienny chromolitografowany Pecqa, lub cośkolwiek bądź innego w jego sklepie, dostaje kalendarzyk kieszonkowy bezpłatnie.

FABRYKA WYROBÓW LNIANYCH

W ŻYRARDOWIE POD WARSZAWĄ

dawniéj do Banku Polskiego, obecnie do PP. Hielle i Dittrich należąca,

wysyła do Kijowa przez p. J. Kaczyńskiego współwłaściciela Składu płótna Żyrardowskiego w Warszawie przy ulicy Senatorskiéj pod Nrem 18 exystującego, znaczną partję wyrobów czysto lnianych jako to: płótna kopowe, webowe, bieliznę stołową, ręczniki, chustki, skarpetki, koszule na maszynie szyte etc. Wiadomość ta nieobojętną zapewne będzie tak dla mieszkańców Kijowa jako też dla osób przybywających na kontrakty noworoczne.

ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

Karola Beyera

W WARSZAWIE

na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 389 w kamienicy PP. Wizytek, wprost Saskiego Placu,

Oprócz portretów fotograficznych i grupp, wykonywają się w tym zakładzie także kopje z obrazów, rzeźb i daguerrotypów nietylko zmniejszone, lecz nawet znacznie od oryginałów większe.

ZNAKOMITSZE PRACE ZAKŁADU:

Album wystawy starożytności i zabytków sztuki, urządzonéj w *Warszawie* 1856 r.. 30 tablic ze stosownym opisem, z oprawą w skórę, cena rs. 50.

Album wystawy starożytności i zabytków sztuki urządzonej w *Krakowie* 1858 i 1859 r. 75 tablic ze stosownym opisem, z oprawą w skórę, cena rs 90.

Album widoków Warszawy, 24 tablic. cena rs. 36.

pojedyncze tablice po 2 rs.

Album widoków Krakowa, 12 tablic, cena rs. 18.

Zbiór ptaków drapieżnych polskich fotografowany z natury i kolorowany, pod kierunkiem p. Władysława Taczanowskiego, Adj. Gab. Zoolog. Warsz. 25 tablic in 8vo majori cena rs. 15.

Kopje obrazów malarzy polskich.

Portrety znakomitych osób.

Stereoskopy z widokami krajowemi i zagranicznemi.

Gabinet fotograficzny medalów polskich, zeszytów III uzupełniające dzieło Edw. hr. Raczyńskiego, do panowania Jana-Kazmierza, cena zeszytu rs. 3.

DOM HANDLOWY

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz exystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowéj pod Nrem 492, z dniem 13m grudnia r. z. otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście

(*pod Nrem 15 nowym*)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich, angielskich, i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pająki, Zegary stołowe i ścienne, Świeczniki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wiszące, Konsolki, Brązy do firanek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony. A tout Cas, Spicruzgi. Portmonetki, Cygarniczki Pugilaresy. Kapelusze jedwabne paryzkie, Porcelana chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby brązowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnéj publiczności, wyżéj wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi dotąd Publiczność go zaszczycała.

SKŁAD GŁÓWNY ZEGARKÓW

Z Fabryki w Genewie

CZAPKA I SPÓŁKI

nadwornego zegarmistrza J. C. W. Księcia Napoleona

W Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 441, dom Wgo Grodzickiego.

Poleca się znacznym doborem Zegarków złotych i srebrnych najdoskonaléj wykończonych, do których dodają się świadectwa z własnoręcznym podpisem fabrykanta, służyć mające jako poręczenie za dokładną budowę i regularność tychże, niemniéj poleca się pięknym wyborem zegarów stołowych, w szafach brązowych z kloszami, marmurowych w kolorach czarnym, szarym i białym, oraz drewnianych, raz na dwa tygodnie nakręcających się. Rekomenduje się także znacznym wyborem biżuterji genewskiéj jakoto: garniturami z odpowiedniemi ozdobami do zegarków damskich, oraz łańcuszkami podług najświeższéj mody i t. p. Zegarki damskie od rs. 50 do rs. 250; męzkie od rs. 57 do rs. 300; srebrne od rs. 25 do rs. 70; stołowe od rs. 24 do rs. 270. Skład główny przyjmuje wszelkie zamówienia na zegarki z szczególnemi ozdobami, jakoto: herbami cyframi i portretami, niemniéj wszelkie reperacje się uskuteczniają.

Wyroby téj fabryki znajdować się będą na kontraktach kijowskich.

Bolesław Wosiński.

Każdy inny byłby dziesięć razy upadł w połowie drogi: Dumas znalazł tryumf tam, gdzie innego spotkałaby klęska. Słuchamy ze zdziwieniem, z przestrachem, pytając się co chwila, co usłyszymy jeszcze? lecz pomimo tego słuchamy do końca. Dla poparcia naszego zdania, dosyć będzie przytoczyć treść sztuki.

Często się zdarza że najgorsze wychowanie szczęśliwe daje rezultaty, że złe przykłady, zamiast pobudzać do naśladowania, natchną dobrą radę. Hrabia la Rivonnière i jego syn Andrzej najlepszym są tego dowodem. Hr. la Rivonnière, charakter najdokładniéj wystudyowany z całéj sztuki, pomimo lat pięćdziesięciu jest młodym, roztrzepanym, grzecznym, uprzejmym, szlachetnym, a nadewszystko zakochanym zawsze i wszędzie. Całuje z uszanowaniem rękę metressy swego syna, która bez wstydu i bez ceremonii mieszka w jego apartamentach; słucha miłosnych zwierzeń Andrzeja; powodowany ojcowską troskliwością, każe pod swoim adresem przesyłać bilety mężatek z któremi syn jego w nieprawych zostaje stosunkach. W postępowaniu ojca Andrzej widzi jednę tylko niestosowność: ruinę, gdyż hrabia jest zruinowanym, a cztérdzieści tysięcy liwrów dochodu, które według swego przekonania posiada, są tajemnym darem syna. „Twoje interesa są w złym stanie, mój ojcze; należy temu zaradzić. Potrzeba abyś się ożenił.“ Rzeczywiście Andrzej ma pod ręką pewną panią Godefroid, którą hrabia kochał w młodości, kiedy jeszcze wdową nie była, a która od początku piérwszego aktu do końca sztuki gotowa jest poświęcić się dla kochanka lat młodych, z wytrwałością godną nagrody. Hrabia podziela zdanie syna: myśli o małżeństwie, ale nie myśli o pani Godefroid. Dawna jego miłość znikła jak śnieg wiosenny, a zresztą zwrócił swój wzrok na młodą osobę, pannę Helenę de Blignac, nie mającą nawet połowy lat pani Godefroid. Na wspomnienie tego imienia zachmurza się czoło Andrzeja. Helena jest wybraną jego; trzeba zatém jednego jeszcze więcéj poświęcenia dla tego strasznego ojca. Oddał mu połowę swego majątku, poświęci mu i narzeczoną swoję. Wszystkie przygotowania, zrobione w widokach blizkiego małżeństwa, na nic się nie przydadzą.

Wypadek którym groził akt piérwszy, próżnego tylko napędza nam strachu. Małżeństwo hrabiego nie przychodzi do skutku. Helena kocha hrabiego, ale na teścia, a nie na męża. Hrabia odkrywa tajemnicę młodych ludzi i łączy ich ze sobą, a sam pociesza się z Albertyną.

Akt trzeci rozpoczyna się sceną miodowego miesiąca. Nowopobrani małżonkowie gruchają czule. Lecz nagle dziwna myśl powstaje w głowie młodéj niewiasty: pragnie aby mąż opowiedział jéj dawne miłostki, i skoro prośby jéj zostały wysłuchane, zaczyna się dąsać. Andrzej stara się pocieszyć żonę, lecz w chwili kiedy miał złożyć pocałunek na jéj ustach, napotyka głowę ojca, który go uprzedził w tym słodkim zamiarze. W saméj rzeczy ten marnotrawny ojciec jest bardzo usłużnym. Przywłaszcza sobie w części obowiązki syna, i na przechadzki, bale, koncerta prowadzi synową. Ztąd wniosek, że świéża rana w jego sercu jeszcze się nie zagoiła. Żeby tylko syn nie wytłumaczył sobie fałszywie jego postępowania. Aby go doświadczyć, udaje nagłą konieczność udania się w daleką podróż. „Idź,“ powiada syn spokojnie, w nadziei że ta rozrywka powstrzyma na czas przynajmniéj jakiś wzrastającą ciągle jego rozrzutność. Pan de la Rivonnière wychodzi, pewny że syn podziela podejrzenie powszechne, i aby się pomścić, biegnie do Albertyny.

Mieszczki w Bodzentynie.
(Rysował Kostrzewski, rytował Drążkiewicz.)

W czwartym akcie syn usiłuje wydrzéć ojca ze szpon téj nieczystéj istoty. Wyczerpawszy prośby, ucieka się do środków surowości. Przypomina ojcu że nie siebie ruinuje i nie pod swoim dachem dał schronienie Albertynie. Uczucie obrażonego ojcostwa budzi się w sercu hrabiego: wybucha, a syn upokarza się i chce pokutować. Pannę Albertynę zostawiają jéj losowi, a hrabia ma zaślubić panią Godefroid, któréj kazać dłużéj czekać byłoby okrucieństwem.

Taka jest treść dramatu, z takiém powodzeniem tylokrotnie przedstawianego w tych czasach w Paryżu. Osądźcie!

SZACHY.

ZADANIE X.

(*A. Petrow*).

Białe zaczynają i dają mata za drugiém posunięciem.

Czarne.

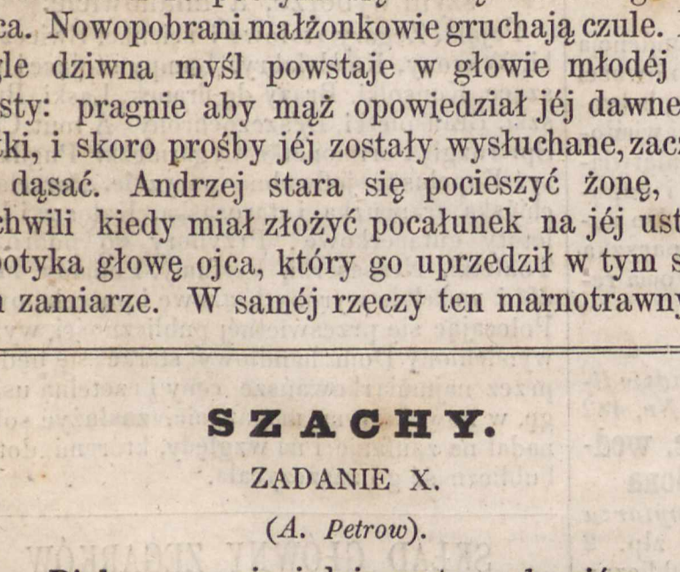

Białe.

Ubiór mieszczanek z miasta Bodzentyna.

Zacierają się coraz bardziéj, z każdym niemal rokiem, tak charakterystyczne typy szlachty naszéj, jako i mieszczan. Znikają te wyraziste postacie, które tak obliczem, jak całą osobą, ruchem, mową i ubiorem, przypominały jeszcze dawną Polskę. Cywilizacya z ułatwieniem komunikacyj, tak trudnych do niedawnych czasów, przeciąga jednym pokostem wszystkie warstwy społeczności, zacierając wszelkie wydatne, oryginalne rysy.

Nietylko znikają stare a poważne postacie polskich mieszczan i mieszczanek w Warszawie; — widzimy to już i po wszystkich niemal większych miastach królestwa, a nawet w ich promieniu na kilka mil w około. Moda, ta przeważna władczyni, wypędza bez powrotu dawne tradycyjne ubiory, odziewa w nowe szaty i zmienia do niepoznania.

Szczególniéj oddziałała ona na kobiéty miejskie, chciwe zawsze nowostek, tak iż dziś zabytków dawnego stroju niewiast polskich, musimy poszukiwać jak zabytków archeologicznych, w starych obrazach, lub po małych, na ustroniu położonych miasteczkach.

Oceniając tego rodzaju dochowane zabytki i wartość ich dla sztuki, podajemy w drzeworycie zdjęty z natury ubiór dwóch mieszczanek z miasta *Bodzentyna*, zwanego inaczéj *Bodżęcin* albo *Borzęcin*, w dawnéj ziemi sandomiérskiéj.

Gród to starożytny: na początku XIII wieku piérwotnie wioska *Tarzęcin*, należąca do dóbr stołowych biskupa krakowskiego, złupiona i do szczętu spalona w roku 1244 przez Konrada księcia mazowieckiego, w sto jedenaście lat powstaje miastem, a wkrótce warownym grodem, opasanym mocnemi murami i baszty. Tu bawił dni kilka Władysław Jagiełło, gdy się wyprawiał na Krzyżaków r. 1410; z Bodzentyna wyruszył w pobożnéj pielgrzymce na Święto-krzyzką górę, w pobliżu położoną, ażeby w starożytnéj świątyni ks. benedyktynów, słynnéj relikwiami cząstki drzewa z krzyża Chrystusa Pana, wezwać w gorącéj modlitwie pomocy jego, dla spieszących do krwawego boju chorągwi rycerstwa polskiego i świéżo ochrzczonych wojowników litewskich. Bóg wysłuchał szczéréj prośby i błagania pobożnego króla — a pola Grunwaldu dają temu świadectwo.

Bodzentyn, zbudowany na jednym z garbów pasma gór Łysych, zdala od miast wielkich, od gościńców bitych, długie lata pędził ze swemi mieszkańcami w cichym spokoju. Zamieszkany przez samych wyłącznie chrześcian, pod troskliwą opieką duchowieństwa, wzrastał w zamożność, bo rzadko tu późniejsza burza wojenna, niszcząca ziemię sandomiérską, zajrzała. Mieszczanie, opatrzeni korzystnemi przywilejami królów polskich z rodu Jagiellonów, mając cały handel drobny w ręku swoim, rośli w dostatek i mienie; oddzieleni zaś brakiem dróg i stosunków od miast większych, zachowali najdłużéj jak tradycye domowe, tak charakter i ubiory odwieczne.

Dlatego znajdzie się w Bodzentynie dotąd niejeden zabytek starożytnego ubioru, tak mężczyzn, jak niewiast.

Drzeworyt nasz przedstawia dwie mieszczanki Bodzentyna, jednę już wiekową, drugą młodą mężatkę. Starsza wiekiem, oprócz oryginalnego czepca na głowie, ma na sobie dawnego kroju *jupkę* z futrzanym kołnierzem i obłożonemi takimże futrem rękawami. Jest ona krótsza, niż w innych stronach używana. Tak *jupka* jak spodnica jest z ciężkiéj, błękitnéj materyi jedwabnéj.

Młodsza ma strojniejszy i składniejszy czepiec na głowie, z tradycyjnie wiązaną kokardą, z sutém garnirowaniem nad czołem; na szyi korale, z medalem zwykle. Széroki kołnierz od koszuli wyłożony. Kabat, zwany tu dezabelką, z wzorzystéj jedwabnéj materyi, spinany na dwa rzędy guzików, roztwarty nieco od przodu, z széroko wyłożonym na ramiona kołnierzem, dobrze odpowiada kształtnéj kibici. Z pod niego spływa fartuch materyalny krótki i spodnica takaż, długa po kostki, nie zakrywająca przecież trzewików dawnego kroju, ozdobnych w kokardki.

Jest to strój zachowany dotąd, który niewątpliwie nosiły mieszczanki Bodzentyna przed dwustu najmniéj latami.

REBUS

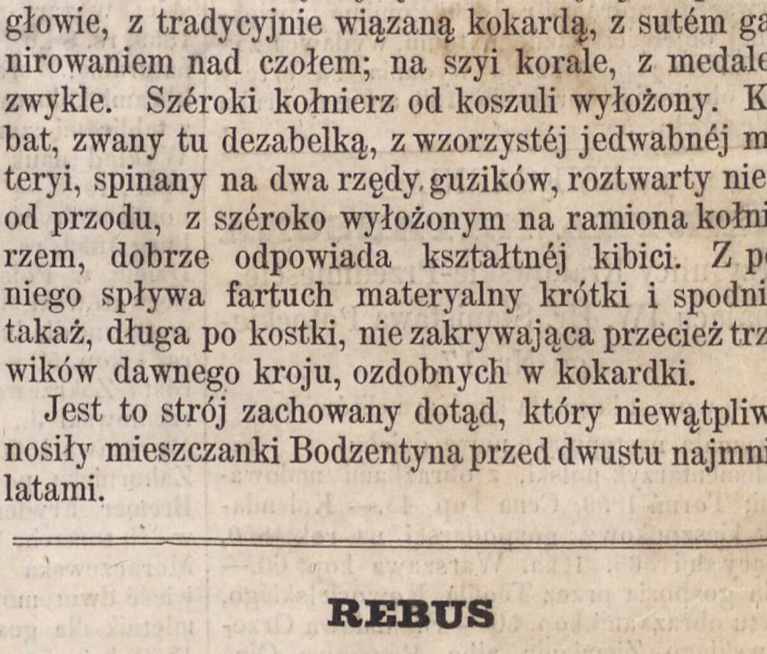

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 14.
W piecu starym diabeł pali.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 26 grudnia 1859 (7 stycznia 1860) r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*